

Nr 1 (76)
2019



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE

PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

W TYM NUMERZE: DUŻO O XXV LUBUSKICH WAWRZYNACH I ICH LAUREATACH * UZASADNIENIA KAPITUŁY PROF. JERZEGO MADEJSKIEGO * WIERSZE: AGNIESZKA GINKO, MICHAŁA BANASZAKA, MARKA STACHOWIAKA, ARTURA WODARSKIEGO, MARIII BORCZ, KRYSZYNY CABAN, JASZKI JURGOWIAK, JOLANTY KARASIŃSKIEJ, KRYSZYNY DZIEWIAŁTOWSKIEJ-GINTOWT * PROZA: HALINY GROCHOWSKIEJ, ELŻBIETY H. DASZKIEWICZ, CZESŁAWA SOBOKOWIAKA, ARTURA WODARSKIEGO * RECENZJE I OMÓWIENIA NOWYCH KSIĄŻEK LUBUSKICH, m.in. ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO, LECHA DOMINIKA, MARIII BORCZ, KRYSZYNY CABAN, ZOFII MĄKOSY, ŁUCJI RAJCHEL-MARCZYK * DUŻO WIADOMOŚCI KULTURALNYCH Z CAŁEJ ZIMY * GORZOWSCY PISARZE PRZED WYBORAMI * KRONIKA WYDARZEŃ EWY RUTKOWSKIEJ I NA DWÓCH OSTATNICH STRONACH SATYRA – FRASZKI (NOWE) TADEUSZA SZYFERA, LECHA JANA JAMKI, JULIANA TUWIMA I GROTESKA JASZKI

Agnieszka Ginko NOCE I DNIE

W pierwszych słowach tego mejla
pytasz o Polskę.
Jest jak poezja: nie chcą jej słyszeć.
A kiedy kibole śpiewają:
biało-czerwoni
to jest obciach.
Obciachem nie są zakupy
zamiast rozmów.
Bo nastał czas żerowania,
przeżuwania
i robienia zakupów.
A nasze dni i noce
są jak wyschnięta trawa.
W ostatnich słowach tego mejla
bocianie gniazda rozbiera wilgoć
i zjada mrok.
A nasze dni i noce
są jak wyschnięta trawa.



Jerzy Alski PIĄTA PORA ROKU

Szelest jesiennych liści, brunatnych, żółtych, suchych na powierzchni, a im głębiej tym wilgotniejszych, już zbutwiałych, a jeszcze dalej w głąb znowu suchych, zmrożonych – to historia ubiegłej jesieni. W kącie, zacięzionym szarymi witkami krzewów, połącz śniegu przemrażana kilka razy, pokryta lodowymi opłatkami z chrupkim trzaskiem łamiącymi się w dłoni i topniejącymi potem – gasnące już, śniegowe metamorfozy zimy. Na zwisających żółtawych gałązkach kotki i zielonkawy pył na palcach, kiedy ich dotknąć – to otwierająca już okna i drzwi tkalnia wiosny. Zaś kiedy unieść głowę... oczy najpierw zmrużone, potem rozwierające się coraz szerzej na nieprawdopodobny błękit potokami płynący po niebie. Już nie błady, już wchodzący w tę na wieczność zapamiętaną z dzieciństwa barwę farbi do bielizny. Indygo. Obietnica przejrzystego lata – oby.

Jeden z zakątków parku Kasprowicza w Szczecinie dwudziestego czwartego lutego i cały rok wokół. Można się roztopić w czasie jak nigdy chyba – bo jest to pora wyjątkowa: ani zima, ani lato, ani jesień, ani wiosna. Piąta pora roku jednocząca wszystkie urzędowe cztery w tej jednej, absolutnie nieurzędowej, natomiast odczuwanej, przeczuwanej, oczekiwanej przez wszystkich, przez każdą i każdego. Nadzieja – taką być może powinna mieć nazwę. To nawet ładne: nadzieja, wiosna, lato, jesień, zima i znowu nadzieja.

*Do pieca, Floro, podkładaj,
a ty wiosnę opowiadaj
jeszcze trwożną, Sancta Musa;*

Nie wymyślę wiosny trwożnej, ale wiosnę dziecięcymi paluszkami wytapiającą w śniegu tunele dla krokusów i przebiśniegów, wiosnę radośnie zaciekawioną, co z tego wyniknie – tak. Wiosnę figlarną, która sygnie nieoczekiwaną zamiecią idącym na rezurekcję i obejmie ich ciepłymi ramionami słońca, kiedy znowu wyjdą na świat w pierwszy dzień Radosnej Nowiny – przepełnieni samymi sobą i nieświadomością – przepełnieni

cd. na str. 2



OD RED. NACZ.

...a może strajk?

Witajcie, znów kolejne Alleluja!

Ostatni, jubileuszowy numer „Pegaza” był świąteczny. Ten trochę mniej, bo do Wielkiej Nocy jeszcze sporo Wielkiego Postu. Ale elementy wychowania w wartościach są widoczne – spójrzcie na sąsiednią stronę, z aniołem i dzieciństwem Gąsiora – laureata specjalnego wyróżnienia dyplomem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2018 za całokształt twórczości. Prawie wszystkim laureatom oddałem w tym numerze sporo miejsca, tyle że dla innych omal by go nie starczyło. Rozwiązanie okazało się proste... Dlatego ten numer jest taki gruby. A pisarze dalej są niedoceniani – nie dość, że dla Was zmuszani są do pracy społecznej, to tylko niektórym część kosztów „się zwraca”. Chyba że znajdą jakiegoś hojnego sponsora lub organizację pisarską (ZLP czy RSTK...), które w ich imieniu wystąpią w konkursie ofert dla organizacji pozarządowych i mogą liczyć na częściowe wsparcie swoich wydawniczych projektów w postaci dotacji, z udziałem przynajmniej 10 proc. kosztów własnych, najczęściej pochodzących ze składek członkowskich. W taki sposób ukazują się w roku średnio cztery książki naszych pisarzy w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, wydawane przez Oddział Związku Literatów Polskich, którego IV kadencja zakończy się w dniu promocji tego oto numeru.

Jak wynika z tekstu pt. „Gorzowscy pisarze przed wyborami” (s. 16-17), w ramach tej serii, powstałej wraz z Oddziałem ZLP w 2004 roku, ukazały się do dziś 92 książki, w tym 60 dotowanych w całości lub częściowo z budżetu miasta Gorzowa. W tej ostatniej liczbie mieści się 20 debiutów poetów i pisarzy obojga płci w wieku od 17 lat do późnego wieku emerytalnego. Dzięki temu i 76 edycjom naszego czasopisma (to ponad 2000 stron formatu A4!) można mówić i pisać o gorzowskim środowisku literackim. Całkiem nas tu nie mało.

Biedni, pauperyzowani przez wszystkie ustroje „w tym kraju”, wyrobniicy twórczego pióra (dziś laptopa!), intelektualści z bożej łaski, hobbyści pracujący za darmo na tych wszystkich, którzy żyją z Waszej darmowej pracy: sprzątaczkę w domach i biurach wydawców, drukarzy, ekspedientów księgarń i pracowników bibliotek – nikt nie zauważa Waszego istnienia! Wszyscy strajkują, żądają ciągle nowych podwyżek o przynajmniej tysiąc złotych, a Wy uszy po sobie i „niech się dzieje wola nieba”... płacicie za to, co powinno być dla Was co najmniej za darmo, jeśli nie za dobre pieniądze. Nie możecie ogłosić STRAJKU!? To takie proste. Lekarze dostali, pielęgniarki dostały, wszyscy dostają – bo strajkują. Teraz nawet, dotąd pokorni, nauczyciele... Ja się im nie dziwię, sam kiedyś byłem gwiazdą w tym zawodzie za psie pieniądze i dyplomy uznania. Teraz jako emeryt nawet nie śmiałybym strajkować. Dostanę 13. NAJNIŻSZĄ emeryturę! Znów będę miał na wkład własny za rok na kolejną jubileuszową książkę...

A inni emeryci? Też mają szansę na strajk. Nawet dwie – pierwsza to GŁODOWY, druga odmówić Panu Bogu umierania do końca życia.

Ireneusz K. Szmidt

JERZY ALSKI



cd. ze str. 1

iluminacją siebie – aż tyle nas jest w nas? Aż tyle mnie w samym sobie? Aż tyle we mnie złączenia ze światem? Aż tyle związania z innym, z obcym powszednim w obcości, aż tyle współodczuwania, współcierpienia, współradości? Tak, tego poranka tak. Oby każdego poranka. Przecież wystarczy to zachować – dość w nas szkatulek na takie precjoza. Czasami chodzę na rezurekcję. Dla Radosnej Nowiny, ale nie tylko. Dla wiosny figlarnej też. Aby zobaczyć ją jak w żaden inny dzień. Zachować i pamiętać, o obcym pamiętać, o nadziei.

*Całego siebie dać jak bukiet chabrów,
bo zawsze warto. Bo nigdy nie za późno.
Lampką dla ludzi być, a kawą dla aniołów,
których mi żal. Którym jest w niebie nudno.*

Anioły są kodeksowe, a życie nie. Nieustannie przechodzimy na czerwonym, nieustannie pakujemy się pod samochody, bez przerwy bandażujemy coś albo naklejamy plastry. Może dlatego właśnie ta pora roku, kiedy lodowy opłatek topnieje. Teraz jeszcze w dłoniach, za chwilę w dotyku słońca – z dnia na dzień cieplejszym, aż będzie jak dłonie. Budzące się majowym wieczorem jaśminowe odurzenie: dlaczego od tamtej pory roku, kiedy kawałek lodu topniał w moich dłoniach w parku, do teraz, kiedy wszystko wokół roztapia się, rozplywa w przejrzystym pięknie świata pełnego namiętności życia – a przecież tego oczekiwałem, to było nadzieją – dlaczego do teraz świat nie stał się krainą gojącą, kojącą, przytulającą, pełną tego, czego pragnie każda i każdy, a co nie nadeszło i tym razem. Nigdy nie nadeszło, a przecież pragnęliśmy tego każdego roku. Anioły są kodeksowe i próbują załatwić problem za nas: nie przechodzić na czerwonym, nie pakuj się pod auto. Ależ jest to nasze najwyższe pragnienie: przechodzić na czerwonym i niemal nikt nie staje się nigdy aż tak dorosły, aby z tego zrezygnować, aby posłuchać anioła. Stróż – też mi ktoś. Zrób tak, żebym przebiegł na czerwonym i ocalał. Mało – abym na drugi brzeg dobiegł i piękniejszy, i silniejszy. Podpowiedz – jak.

*cóż nas spotyka
gdy się mijamy
uśmiech*

Bo tamte anioły są z nieba. Jak komisja dla krzewienia moralności, nudna i zawsze trochę nadęta – swoją wyższością, bo ona jest moralna ze swojej natury. A my nie – też ze swojej natury. Ona ma kodeksy, a my bukiety chabrów do rozdawania, bukiety uśmiechu. Bukiety współodczuwania, współcierpienia, współradości. Bukiety wybaczeń. Może to? Może to, co w tamtej porze roku pomiędzy zimą a wiosną, porze roku o nazwie nadzieja, było tak bardzo obecne?

*na wyciągnięcie ręki
mam nocną lampkę
i ciebie*

Tuż obok. Ale też idącego pustą ulicą nocą, którego kroki słyszę. Ale też bezsennego, którego przesuwający się cień widzę w oknie, kiedy przed świtem niebo robi się przejrzyste granatowe. Ale też zgodzonego z losem, pakującego kartony na wózek, gdy rano wychodzę z domu i pozdrawiamy się przy śmietniku. Czasami rozmawiamy, czasami on poprosi, a ja dam. Chętnie, bo przekazacie sobie znak pokoju. Na wyciągnięcie ręki – on też. Nawet przed innymi, bo bliżej wtedy do cudów.

*z tobą zamienię wodę
w wino na każdym
weselu*



Jakież zapomnieliśmy. Jakież zapominamy codziennie, nieustannie. I jak dobrze, że przydarzył się tamten dzień, tamten spacer w parku porą roku nazwaną nadzieją. Bo z niej wszystko inne, byle nie zapomnieć. Przekażmy sobie znak pokoju i tak pozostajmy. Na czerwonym świetle zawsze ktoś nam poda rękę. Potem my jemu.

Alski

Fragmenty wyodrębnione kursywą. Dwa pierwsze pochodzą z tomu: Konstanty Ildefons Gałczyński, Liryka 1926-1953, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1962. Trzy kolejne: Jerzy Hajduga, Zatrzymać czasu chwilę, wydawca MK 2018.



JERZY GAŚIOREK (GAŚIOR)

* * *

*W mojej wieży
fruwają anioły
mimo że z drewna i blachy
wielkie poważne i figlarne małe
z dzwonkami te radość zwiastują
inne z kluczami od sekretów
wreszcie z sercami
to te zakochanych
jeden ma skrzydło pocerowane
tamten z kolei zgubił aureolę
wszystkie siermiężne zwyczajne
lubię je z nimi mi raźniej
oby mnie strzegły od złego*

Tak, byłem ministrantem

(...) Wracam do Sławna na ulicę Słoneczną. Sąsiedzi, przyjaźnie, koledzy. Większość ludzi tam mieszkających to przesiedleńcy zza Buga, jak np. Dudkowie, Cyngłowie, czy z Poznańskiego tak jak my, Borowscy czy Witczakowie (spod Jarocina).

Przyjaźniłem się szczególnie z chłopakami Dudków, Januszem i Cześkiem. Roman był nieco starszy. Starszym też był Janusz Feliński, który był jedynakiem i mieszkał dom dalej. Jego tata miał motor (ho!ho!), chyba SHL-kę. O dziwo, Janusz bez prawa jazdy (kto by się tym przejmował) zabrał mnie jako pasażera do swej babci, która mieszkała w Bobrowicach, 10 km w kierunku Koszalina. Wtedy po raz pierwszy (10 lat) prowadziłem motor na bocznej polnej drodze. (...)

Do centrum miasta (w czasie wojny zburzonego) można było dojść albo wspomnianą ulicą Koszalińską, albo Polanowską. Zbiegały się one w miejscu, gdzie ustawiono stację benzynową, taką bez zadaszenia, pompa ze szklanym pojemnikiem, która odmierzała paliwo. Jakoś nie pamiętam tankujących tam samochodów. Były nieliczne, zapewne i prywatne. Jeden z nich należał do ks. proboszcza Talarka. Stara DKF-ka, którą też potrafił prowadzić brat Czesław. To księża i bracia z zakonu franciszkanów, ubrani na czarno. Oprócz proboszcza był i wikary, obsługujący również pobliskie wsie, m.in. kościół w Ostrowcu (8 km w kierunku Polanowa). Jadąc z posługą, zabierali też niekiedy kościelnego czy ministrantów. Pamiętam, że jakiejś zimy w niedzielę jechałem również do onego kościoła sankami doczepionymi do DKF-ki. Tak! Dziś niewyobrażalne. Przy ówczesnym ruchu było to możliwe. W zimnej kruchcie sprzedawałem skromne dewocjalia.

Tak, byłem ministrantem. Oddanym, gorliwym. Biegałem z przyjemnością na poranne msze, roraty, nieszpory, drogi krzyżowe. Mniej zapewne z pobożności, bardziej z możliwości uczestniczenia w samym rytuale, tak bogatym, tajemniczym. Wtedy przed Soborem (62 r.) ksiądz odprawiał mszę przodem do ołtarza po łacinie. Ministranturę też „klepałem” po łacinie. Używam tego określenia, bowiem nie do końca rozumiałem jej treść. Introibo ad altara Dei... Confiteor... I ten ubiór kapłana (dziś tak okrojony): alba, cingulum, humerał (chusta na piersi), manipularz (na lewym ręku, dziś zupełnie zapomniany), ornat, welon, kapa; a wreszcie w różnych kolorach. Dzwonki, mszał, kadzielnica, patena do podstawiania pod brodę przyjmujących komunię. I jeszcze paramenty (kielichy, puszki, ciboria, ampułki, kij z knotem do zapalania świec, balaski, klęczniki) – wszystko to tak tajemnicze, ciekawe. I to stopniowanie, awansowanie w ministranturze. Najpierw jako początkujący na końcu szeregu przy ołtarzu, potem wyżej, wreszcie w pierwszej parze usługującej kapłanowi w niedzielnej mszy. Duma, zaszczyt.

Kościół (fara) pod wezwaniem NMP, wielki, gotycki, zimny, ostał się w czasie wojny, chociaż wymagał odbudowy (dach). Stał przy placu rynkowym. Kiedyś oddzielały go domy ustawione w czworobok. Po wojnie zachowały się nieliczne, po drugiej stronie rynku.

Zachowały się natomiast dość dobrze dwie gotyckie bramy (XIV-XV w.) – Koszalińska i Słupska. Ich nazwy świetnie określają kierunek ich posadowienia. Ja, idąc do fary, przekraczałem Koszalińską. W jej pobliżu restauracja i kino „Sława” w dawnej poniemieckiej sali restauracyjnej hotelu. Ciekawy budynek z terakotowymi ozdobami.

Magia kina, po raz pierwszy oglądane filmy, najczęściej radzieckie. I te świetne kroniki filmowe; dla mnie dziecka był to świat zaczarowany, nowy.

Msze dla młodzieży odbywały się o 9⁰⁰, zazwyczaj jednogodzinne. W pośpiechu zdjęta komża i w te pędy do pobliskiego kina, by zdążyć na kronikę. W kasie taki wstępowy bilet bodajże za 1,20 zł. Na salę wchodziłem zazwyczaj już po zgazieniu światła.

Z ministranturą wiązało się i zimowe kolędowanie w towarzystwie oczywiście księdza, niekiedy organisty czy kościelnego. Wtedy przyjmowano księdza prawie wszędzie (choć były to czasy stalinowskie).

Na święta wielkanocne przygotowywaliśmy, z udziałem całej rodziny, palemki z bibuły, bazi, bukszpanu. Uczestniczyłem też w jasełkach; raz byłem pastuszkim, raz królem. Gdzieś tam zachowały się zdjęcia. Za dobrą ministrantką służył brat Jan zabrał nas na wycieczkę do Gdańska (pociągiem). Przyłapał nas na próbie palenia papierosów, długo się tego wstydiłem. Z Gdańska mniej pamiętam operę, bardziej jazdę tramwajem. Wtedy powszechna była jazda z otwartymi drzwiami, na stopniach, z możliwością wskakiwania i wyskakowania z niego w biegu.

To chyba przez moje ministrantowanie, bliski kontakt z księżmi i braciszkami, postanowiłem wstąpić do Niższego Seminarium Duchownego. Wcześniej skończyłem 7 klasę. Był rok 1954. W marcu rok wcześniej zmarł Stalin. Na pewno nie płakałem, ale w uroczystym apelu brałem udział. Nie pomnę, czy nie kazano mi przygotować okolicznościowej gazetki. Zdradziłem się plastycznymi zdolnościami i takich gazetek (bristol, literki, rysunki, wycinki) zrobiłem kilka. Pamiętam taką: Wczoraj – dziś. Wczoraj – prymitywna orka końmi, prymitywny warsztat. Dziś – traktor i dymiące kominy fabryk. Obecnie dymiące zakłady byłyby ukarane.

A propos kar, stosowano je za moich czasów. Lanie linijką w łapy, stanie w kacie, chyba też „ośle ławki”, przepisywanie po 50–100 razy: „Nie będę rozmawiał na lekcjach” itp., zostawianie w tzw. „kozie”, jakieś dodatkowe sprzątanie.

Nie było ani pedagoga, ani psychologa szkolnego. Była chyba higienistka. Mało popularne były wagary. A młodzież była różna. Zróżnicowana wiekowo. Wiele dzieci w czasie wojny musiało przerwać naukę, więc w mojej klasie były dzieci o 3–4 lata starsze, wiele z Domu Dziecka.

Dla krzewienia socjalizmu kazano nam śpiewać patriotyczne piosenki na akademiach, w szkole i w terenie. Pamiętam taki wyjazd z biało-czerwonymi i czerwonymi flagami i naturalnie śpiewami. Samochodem odkrytym (na pace), a może to był traktor z przyczepą, do jakiejś wsi (nie pamiętam jakiej).

O Sławnie, o tych wspaniałych latach mógłbym w nieskończoność. Dla mnie, chłopca ze wsi, pierwszy kontakt z miastem, kinem, odkrytym basenem, brukowanymi ulicami, piętrowymi domami, sklepami, których zawartość chłonałem przez witryny okienne, zwłaszcza te z zabawkami, na które ani mnie (za kieszonkowe), ani rodziców nie było stać – to duże przeżycie. Warcaby, młynek, człowieku, nie irytuj się – te były dostępne. Dlatego tak wiele czasu spędzaliśmy na łące, kopiąc piłkę, walcząc drewnianymi szablami czy popychając felgi. Zimą zaś zjeżdżając na sankach, nartach czy łyżwach. Zziębnięci, zziązani wracaliśmy do domu, zrzucaliśmy przemoczone ubrania i grzaliśmy się przy kafłowym piecu. Nikt nie marudził, nie wybrzydzał na jedzenie. Metka, karszanka, dorsz to już było coś. Zazwyczaj chleb ze smalcem, margaryna, syropem czy zwyczajnie posypyany cukrem to była normalka. Mięso pojawiała się w niedzielę, z piwnicznych zapasów czy zarzniętych kur lub królików.

Ach jakie to było pyszne!



17 stycznia w Salonie Literackim im. Z. Morawskiego wydawca książki dyr. S. Szenwald otwiera spotkanie z jej autorem. Moderatorką promocji „Listów do praprawnuka” była K. Kamińska

LUBUSKI WAWRZYN LITERACKI

Uzasadnienie przyznania dyplomu Lubuskiego Wawrzynu Literackiego JERZEMU GĄSIORKOWI (GĄSIOROWI) za całokształt twórczości

W 2018 roku wydał książkę prozatorską – „Listy do praprawnuka”. Od 2001 roku ukazało się 12 tomików jego wierszy. Wszystkie mają jednakową formę i ascetyczną okładkę, każdy zawiera 100 wierszy – wykaz tytułów poniżej. Ponadto jest autorem tomu pt. „Santok”, a polsko-niemiecki wybór jego wierszy nosi tytuł „A ja wciąż bez odpowiedzi / Und ich immer noch ohne antworten”. Wiersze Jerzego Gąsiorka – Gąsiora są poetyckim zapisem refleksji nad otaczającym go światem, nad najważniejszymi problemami egzystencjalnymi, nad przeszłością i przyszłością człowieka, nad obecnością Boga w tym świecie. Natomiast w napisanych prozą „Listach do praprawnuka” z dalekim potomkiem dzieli się swoją wiedzą, swoją świadomością, uczuciami i nadziejami. Pokazuje, jak realizował swoje credo: Największą moją pasją jest cieszyć się życiem.

Jerzy Gąsiorek z wykształcenia jest historykiem sztuki, przez 26 lat (1980–2006) był w Gorzowie dyrektorem Biura Wystaw Artystycznych. W swojej galerii zaprezentował prace najwybitniejszych polskich artystów tamtych lat, stworzył największą po zakopiańskiej galerii dzieł Władysława Hasiora, był pomysłodawcą ogólnopolskich Biennale Sztuki Sakralnej „Sacrum” i Lubniewickich Plenerów Tkackich.

Jest także artystą plastykiem, twórczo wypowiada się jako autor rzeźb i kompozycji rzeźbiarskich w konwencji asamblażu. Najbliższa jest mu tematyka sakralna. Wystawiał swoje prace w wielu miastach Polski i Niemiec.

Jerzy Gąsiorek jest wybitną postacią w kulturze Gorzowa, a fakt, że w ostatnich latach zajmuje się przede wszystkim literaturą, uprawnia mnie do przedstawienia jego kandydatury do dorocznej nagrody za całokształt twórczości. Miniony rok przyniósł książkę w nowej dla autora formule, a wybrał ją jako obecnie mu najbliższą do podsumowania swoich życiowych i literackich dokonań.

2001	<i>Z szuflady wyjęte, Gorzów, 106 s.</i>
2002	<i>Perony łez, Gorzów, 106 s.</i>
2003	<i>Dłaczego, Gorzów, 107 s.</i>
2005	<i>Nie zasłaniaj mi słońca, Gorzów, 106 s.</i>
2007	<i>Ja, profan, Gorzów, 103 s.</i>
2010	<i>Czas rzeźbię, Gorzów, 106 s.</i>
2011	<i>Łaknę wiosny, Gorzów, 97 s.</i>
2012	<i>A ja wciąż bez odpowiedzi, Gorzów, 50 s.</i>
2014	<i>Bliżej, Gorzów, 81 s.</i>
2014	<i>A ja wciąż bez odpowiedzi, Gorzów, 96 s.</i>
2016	<i>Usłyszeć ciszę, Gorzów, 100 s.</i>
2017	<i>Trochę za szybko zszedłem z kolan mamy, Gorzów, 100 s.</i>
2018	<i>Listy do praprawnuka, Gorzów, 175 s.</i>

Ireneusz Krzysztof Szmidt – Prezes ZO ZLP w Gorzowie



Wojewódzkie biblioteki – im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze i im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie – na początku każdego roku organizują konkurs w trzech kategoriach o:

- **Lubuski Wawrzyn Literacki** dla związanego z Ziemią Lubuską autora najlepszej książki literackiej wydanej w minionym roku,
- **Lubuski Wawrzyn Naukowy** dla autora wydanej w minionym roku najlepszej książki naukowej o Ziemi Lubuskiej. Podobny tytuł otrzymuje również autor najlepszej książki popularnonaukowej dotyczącej regionu,
- **Lubuski Wawrzyn Dziennikarski** za najlepsze materiały dziennikarskie z minionego roku.

Nagrodą jest statuetka w formie gęsiego pióra, dyplom i honorarium finansowe.

Do 25. edycji Lubuskich Wawrzynów Literackich zgłoszono 36 książek, a jury tytuł ten przyznało w prozie **Halinie Grochowskiej** za powieść „Poprawiny” (1), zaś w poezji **Michałowi Banaszakowi** za tom wierszy pt. „Miejsca” (2). W tej kategorii Srebrne Sokole Pióro rektora Akademii Jakuba z Paradyża za najlepszy debiut roku 2018 otrzymał **Marek Krukowski** za tom wierszy pt. „Udręczenie”, a **Jerzy Gąsiorek (Gąsior)** z Gorzowa dostał dyplom Wawrzynu Literackiego za całokształt twórczości. Takie same wyróżnienia otrzymali **Jerzy Hajduga**, **Katarzyna Jarosz-Rabiej**, **Władysław Klępka** i **Zbigniew Ryndak** (4).

Nominację do Wawrzynu otrzymała książka **Marka Stachowiaka** pt. „Tata jest od tego” (3). Nie wiem, jakimi kryteriami oceniała tę książkę Kapituła, że nie przyznała jej autorowi Sokolego Pióra za najlepszy debiut poetycki ubiegłego roku...

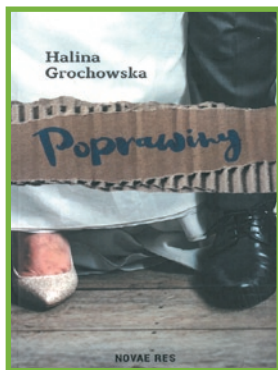
Do 14. edycji Lubuskiego Wawrzynu Naukowego zgłoszono 25 książek, spośród których za najlepszą uznano książkę pt. „**Lubuski atlas ornitologiczny. Ptaki lęgowe Ziemi Lubuskiej**” autorstwa grupy naukowców w składzie: **dr Paweł Czechowski**, **dr Marcin Bocheński**, **Sławomir Rubacha**, **dr Olaf Ciebiera**, **Grzegorz Jedro** i **prof. Leszek Jermak** (5). Wawrzyn za najlepszą książkę popularnonaukową otrzymał **Lech Dominik** z Gorzowa za opracowanie albumu „**Waldemara Kućki spacer po Gorzowie**”.

O Lubuski Wawrzyn Dziennikarski ubiegało się 21 dziennikarzy z prasy, radia i telewizji. Jury za najlepsze uznało zestaw artykułów o tematyce historycznej i społecznej red. **Dariusza Chajewskiego** (6) z „**Gazety Lubuskiej**”. **Maciej Piotrowski** dostał dyplom dla wyróżniającego się młodego dziennikarza, a **Zbigniewa Bodnara** z **Radia Zachód** nagrodzono za całokształt twórczości (7). Specjalnym wyróżnieniem uhonorowano też redakcję „**Gazety Lubuskiej**”.

Dyplomem za walory edytorskie uhonorowano **Centrum Promocji Kultury w Drezdenku** za książkę **Jana J. Maćkowskiego** „**Orkiestry dęte w tradycji kulturowej Drezdenka 1948-2018**”.

Uczystość wręczenia Wawrzynów odbywa się zielonogórskiej księżnicy w ostatni czwartek lutego w dawnej Sali Dębowej, obecnie przemianowanej na Salę im. Janusza Koniusza. Na uroczystej gali spotykają się czołowi literaci, naukowcy i dziennikarze, a towarzyszą im przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich z Zielonej Góry i Gorzowa. Jest to co roku prawdziwe święto lubuskiej humanistyki. Galę wręczenia Wawrzynów na żywo transmitowano na YouTube.





Jerzy Madejski GADANIE, MIŁOŚĆ, PGR

UZASADNIENIE WYBORU

Co zawdzięczamy Halinie Grochowskiej? Świetny tytuł powieści. „Poprawiny” to bowiem to, co następuje po weselu. A dobrze wiemy, co ten tytuł znaczy w literaturze i kulturze polskiej. Jesteśmy więc oswojeni z „weselem”. Pytanie, czy jesteśmy przygotowani na „poprawiny” Haliny Grochowskiej.

W powieści poznajemy PRL jako czas historii i jako autonomiczną formację kulturową. Ma ona swój rytm, wyznaczony ceremoniami państwowymi, ale też rozpoznawalnymi pozycjami ubogiego przecież programu telewizyjnego (serial „Święty”).

Ale w tej rekonstrukcji przeszłości pojawiają się też poszczególne środowiska: pracownikó w biurach i robotnic zakładu włókienniczego. Halina Grochowska portretuje Ziutka. Jego niezwykły status w zakładowej społeczności wynikał z częstych podróży. Ziutek bowiem był „zorientowany w tym, co przywieźć: ze wchodu złoto, kawior, lalki dla dzieci, żelazka, przenośne małe telewizory, radjka. Z NRD – czajniki z gwizdkiem, z Bułgarii – kożuski, modne sweterki i bluzeczki” (s. 39).

Na kartach powieści Grochowskiej spotkamy też dziewczyny, które przyjeżdżają z okolicznych wsi i szukają swojej szansy w Zielonej Górze. Poznajemy historię Janeczki, kobiety samotnie wychowującej dziecko, która zatrudnia się w zakładzie włókienniczym Polska Wełna (s. 23).

Jednak może najwięcej dowiemy się o minionych czasach z historii Zuzanny i Józka. Wydawca na okładce poleca książkę notą „Miłość w czasach PRL-u”. Chętnie bym ją zmodyfikował na „Miłość w czasach PGR-u”. Rzeczywiście wątek romansowy jest zajmujący. Zaczyna się od nocnej rozmowy nad jeziorem w Łagowie. Pisarka przedstawia nam początek miłości: „Akurat nie przyszło im do głowy nic więcej, jak tylko gadać, gadać i jeszcze raz gadać” (s. 85). To w czasie tej rozmowy usłyszymy zadziwiające wyznanie: „Czy wstydziłbyś się przed kolegami wyręczyć żonę w dojeniu? – jeszcze raz zapytała Zuzanna, bardzo ciekawa tego, jak to jest dotykać krowiego wymienia. – Pewnie, że nie wstydziłbym się. Przecież jeśli już miałbym żonę, to byłaby dla mnie najważniejszą kobietą na świecie – powiedział to z przekonaniem, szczerze” (s. 88).

Okazuje się, że to spotkanie będzie miało konsekwencje. Przyjdzie taka chwila, że Zuzanna powie rodzinie o pochodzeniu chłopaka: „Tak czy siak, słowo PGR trzeba było wymówić” (s. 140).

Skąd obawa dziewczyny? Powieściopisarka daje nam wgląd w lęki i obawy dziewczyny: „Zuzanna zapamiętała z podwórkowych pogaduszek, że do PGR-ów wysłała się ostatnią hołotę. Pegieerus to przekleństwo. Rzuca się nim wtedy, gdy nie ma innego określenia na wyrażenie pogardy i podsumowanie czyjegoś braku kultury” (s. 140).

Co więcej, status społeczny ukochanego Zuzanna widzi również poprzez opinię duchownego, bo w świadomości lokalnej społeczności funkcjonował dowcip, „jak to ksiądz na spowiedzi tłumaczył penitentowi, że praca w PGR-ze to nie grzech, tylko wstyd” (s. 140).

To fragment dowcipny. Ale pisarka, przedstawiając obrazy drastyczne, nie namówia się ze swoich bohaterów. Próbuje zrozumieć dziewczyny i chłopców, którzy nie potrafili mówić o swoich biografiach i o swoich afektach. Halina Grochowska pokazuje, z jak różnych światów pochodzą jej bohaterowie i że właściwie nie powinni się ze sobą porozumieć. Wydaje się, że „Poprawiny” to powieść o awansie społecznym. Tak jest w istocie. Mamy dobrą tradycję takiej prozy. Jej najwybitniejszym przedstawicielem jest Wiesław Myśliwski, wielki gawędziarz literatury polskiej. W tym kontekście ważny byłby zwłaszcza motyw „gadania”. To, co robią Józek i Zuzanna nad jeziorem w Łagowie, czyli „gadają”, to skrótowo uchwycona istota narracji powieściowej (a może i literatury w ogóle). Tylko opowieść pozwala nam zrozumieć siebie, tylko poprzez opowieść możemy zbliżyć się do innych. Nawiasem mówiąc, Halina Grochowska i tu pozbawia nas złudzeń. Myśleliśmy, że miłość zaczyna się od spojrzenia w oczy.

prof. Jerzy Madejski
Przewodniczący Kapituły LWL

LAUREATKA WAWRZYNU O SOBIE:

*Jestem szczęśliwą babcią,
mamą i żoną.
Moje rodzinne miasto to
Zielona Góra,
ale wiele lat
spędziłam*



*w Gliwicach, Sosnowcu i w Jasle.
Emeryturę wypracowałam w zawodzie inżyniera elektryka – absolwenta Politechniki Śląskiej.*

Od kilku lat mieszkam w małej podlaskiej wiosce pod Siedlcami. Właśnie tutaj znalazłam odpowiednie warunki do pisania.

Za jeden z nich uważam odpowiednią sytuację materialną. Pisanie jest wysiłkiem, który nie musi, przynajmniej na początku, przynosić dochodu. Trudno byłoby mi się za nie zabrać, gdyby moje dzieci potrzebowały jeszcze mojego „gonienia za groszem”.

Późne rozpoczynanie jakiejkolwiek twórczości: malowania, rzeźbienia, komponowania, kojarzę sobie z wydawaniem plonu przez brukselkę. Pierwsze owoce ta kapusta warzywna wydaje dość późno, bo w listopadzie, kiedy dla innych warzyw jest już po sezonie. Do dalszego pisania mobilizują mnie przede wszystkim reakcje i komentarze moich czytelników.

Przestaję określać je jako hobby, ponieważ z wydaniem przez moje wydawnictwo Nowae Res każdej kolejnej książki (właśnie ta jest trzecia) staje się ono pasją.



SPACERY (fragment powieści „POPRAWINY”)

Odnalazł ją. Bo obiecał. Przyszłość pokazała, że zawsze dotrzymywał słowa. Przez te parę dni, zanim to się stało, była tak rozkojarzona, zamyślona, uśmiechająca się sama do siebie, że cała załoga administracji, biura technicznego i inni zauważyli, że Zuzannę „wzięło”. Tylko jej się zdawało, że to, o czym marzy i na co czeka, nie jest dla nikogo czytelne.

Józek znał już zakład pracy, wydział. Wykonał co najwyżej trzy nietrafione telefony, zanim to właśnie Zuzanna podniosła słuchawkę. Upuściła ją z przejęcia, gdy usłyszała proste sformułowanie:

– Będę w następnym tygodniu w Zielonej Górze. Spotkajmy się.

Zaczerwieniła się wtedy tak okropnie, aż zdziwione koleżeństwo przestało pracować i plotkować.

– Kto to do ciebie zadzwonił?

– Co się stało?

– Nic, nic...

– No, no, na pewno nie nic, tylko coś...

Zuzanna miała satysfakcję, że towarzystwo biurowe było świadkiem tego, że ktoś do niej wydzwania i umawia się. W biurze dla całego działu były dwa podwójne telefony, z przyłączonymi równolegle aparatami. Nikt nie robił problemu z tego, że rozmowy prywatne były prowadzone publicznie. Od czasu do czasu na zebraniach załogi dyrektor bezskutecznie prosił, zaklinał o ich ograniczenie.

– Proszę was, nie blokujcie godzinami telefonów. Mam skargi od kooperantów z produkcji, że nie mogą się dozwonić w ważnych służbowych sprawach, bo linia wciąż zablokowana.

Prośbienie nie odnosiło skutku, więc wprowadził wymóg wpisywania wszystkich rozmów do specjalnego zeszytu, z podaniem nazwy instytucji, do której się dzwoniło w celu rozmowy i jej czasu trwania. Przy okazji dodano kolumnę „wyjścia z zakładu”.

Ale bardzo często ktoś nie zdążył się wpisać, bo niby miał coś pilnego do załatwienia, a tak naprawdę szedł na miasto do kolejki coś wystać. „Kogucik” – pan Ziutek – wpisywał w rubryce „cel wyjścia” sformułowanie KNR. Dopiero po dłuższym czasie wyszło na jaw, że dowcipniś takiego skrótu używał dla określenia „knapja na rogu”.

Nigdy, aż do dnia, kiedy odnalazł ją Józek, blokowanie służbowego telefonu nie dotyczyło Zuzanny. Do czasu! Nareszcie i do niej ktoś dzwonił i nareszcie problem zajmowania linii telefonicznej dotyczył również jej. Nawet czekała na to, żeby zwrócono jej uwagę, że ktoś za często wydzwania.

Niech wszyscy wiedzą, że mną też ktoś się zainteresował – miała swoją cichą satysfakcję.

Zauważono, że coś się dzieje. Zauważono chwile rozproszenia, roztargnienia, uśmiechanie się do siebie samej.

Oho! Patrzcie na Zuzannę. Coś się musiało u niej wydarzyć... Aha...

Spotykali się po to, żeby pogadać. Dzwonił zwykle do biura i umawiał się w jakimś charakterystycznym punkcie miasta. W Zielonej Górze nigdy, tak wtedy, jak i do dziś, takich nie brakowało. Zielona Góra była i jest miastem sprzyjającym parom. Deptak na alei Niepodległości, gdzie można się umówić się pod kinem Nysa, pod kinem Newa, pod teatrem, miejsce pod Grzybkiem (tam, gdzie do 1964 roku stała ładnie obudowana na „grzybka” stacja transformatorkowa) albo w ogóle na trasie deptaka. Ktoś, kto kiedykolwiek zwiedził to miasto, wie, że jest ono wymarzone dla randek niczym Rzym albo Wenecja. Tyle w nim miejsc

do spacerów! Park miejski przy amfiteatrze na Wzgórzach Piastowskich, „park sztywnych”, czasem żartobliwie nazywany „po trupach do władzy”, bo jest urządzony na dawnym cmentarzu, prowadzący z osiedla Piastowskiego do starostwa, winnica z Palmiarnią, zazielenione, piękne miejsca w śródmieściu, obrosnięte skwery, w których zakochani mogą się ze swoimi sprawami ukryć... To były dopiero niedziele! Prawdziwe święta. Najprawdziwsze!

Zuzanna ciągle krępowała się zaprosić brzydala do domu. Na pewno dobrze będzie dla matki brzmiała informacja o ukończonych studiach i poważnym stanowisku narzeczonego, ale jak odbierze to, że jej potencjalny zięć to chłopak ze wsi? Dziewczyna bała się obojętnej albo cierpiętniczej miny matki, kiedy się okaże, że jej zdaniem córka nie miała sobie kogo wybrać, tylko wsioka, który w dodatku ani myśli ukrywać swoje pochodzenie.

Zazwyczaj spacerowali. Bo i gdzie mieli się podziak? Czasem wpadli na herbatkę do jednej w wielu kawiarni, czasem dłużej – godzinę przed odjazdem pociągu – zatrzymali się na kolejowym dworcu.

Były długie i czasami smutne rozmowy o wszystkim, dobrym i złym, co się działo w ich rodzinach, dyskusje światopoglądowe, ustalenia, co każde z nich chciałoby robić i mieć w swoim domu. I w końcu pytanie: kiedy możemy powiedzieć rodzicom o nas?

Nie było oświadczeń z wręczeniem pierścionka, ukłęknięciem przed narzeczoną, wygłoszeniem formułki i przyjęciem zrekowin, miłosnych zaklęć, uniesień, szeptaniny też nie było. Tak jakby każde czułe słówko trzeba było u Józka kupić i jakby miało wysoką cenę. Nie miał takiej nawijki jak jej koledzy ze sztabu, z zarządu albo z sekcji propagandy organizacji polityczno-społecznej – tym mówienie przychodziło lekko niczym puszczenie kolorowych baniek mydlanych. U Józka była chłopska szorstkość i powściągliwość w deklaracjach, obietnicach. Z niego był twardy chłopak. Twardy jak skała, marmur, granit. Taki, u którego słowo było ważne.

Oglądali wystawy sklepowe w sieci uliczek blisko starówki. Na ulicy Grottgiera znaleźli się przed urzędem stanu cywilnego. Przypadkiem, kiedy sytuacja między nimi dojrzała. Nie wiadomo nawet, które z nich pierwsze skojarzyło sobie USC jako miejsce, do którego ostatecznie się udadzą:

– Ooo! Zobacz!

– Niestety, dzisiaj nie wstąpimy, bo już nieczynne.

– No to kiedy?

– Zaraz, zaraz sprawdzimy w kalendarzyku...

Na spotkaniu w domu Zuzanny od razu na pierwszej wizycie trzeba było odpowiedzieć na pytanie:

– No to kiedy i gdzie urządzać ślub?

– Najlepiej jeszcze przed zimą – odpowiedzieli.

Odprowadzając narzeczonego do przystanku autobusowego, Zuzanna w ostatniej minucie przypomniała:

– Przecież ty wcale mi się nie oświadczyłeś!

– Nieprawda – odpowiedział. – Zapytałem ciebie przecież, czy jesteś ciekawa, czy warto by było za mnie wyjść. Dokładnie pamiętam, co wtedy odpowiedziałaś: „Czy warto, tego nie wiem, ale ja bym za ciebie wyszła”.

Jakby miała nie pamiętać lipcowej nocy z ubiegłego roku, przegadanej z nieznajomym, który miał dla niej zniknąć na zawsze.

– Pamiętam – roześmiała się – ale myśmy się wtedy wcale nie znali i te słowa były tylko zwyczajnym przekomarzaniem się.

– Stały się prawdą – odpowiedział, całując w usta tak śmiało, jak wypada ucałować tylko żonę albo narzeczoną.



Jerzy Madejski

SPACEROWNIK POETYCKI

UZASADNIENIE WYBORU

Książka Michała Banaszaka to poetycki przewodnik po mieście. Miasto z tomiku jest zajmujące dla przybysza z innej miejscowości. Zapewne ma powab szczególny dla mieszkańców Zielonej Góry. Co poeta robi

w swoim mieście? Spaceruje. To uprzywilejowany sposób przemierzania się w lokalnej przestrzeni. Można nawet stwierdzić, że książka Banaszaka zawiera poetycką fenomenologię spaceru. Jak czytamy w jednym z wierszy:

*każde kolejne wyjście
jest pierwsze, od nowa
trwa mała i oszołomiona
jaźń, odporna na poczucie
czasu, istniejąca tylko w tym punkcie
i teraz*

(„Spacerowanie”)

Ale co charakteryzuje ten poetycki przewodnik? To, że jest on alternatywny; że poeta zaprasza nas do oglądania miasta z „innej strony”. Przeczytamy więc „Bajkę o wynoszeniu śmieci”, liryczną relację zatytułowaną „Dziura w jednej ścieżce”, poznamy także przybłokowe gruzowisko (s. 32). To w „Przewodniku po jednym mieście” znajdziemy słowa, które możemy uznać za kluczowe w rozumieniu poezji Banaszaka: „Popatrzyć od spodu”.

Tytułowe „miejsca” to nie tylko zielonogórskie ulice, to także przestrzeń domowa, swojska. Bo Banaszak oprowadza nas także po swoim mieszkaniu. Nie zaprasza nas jednak do salonu, lecz do łazienki. Nie chodzi tu jednak o to, byśmy oglądali codzienne obrządk. Tu jest inaczej. Mocą wyobraźni łazienkowy brodzik kojarzy poeta z potopem. Zresztą takich tropów kulturowych i religijnych czy metafizycznych znajdziemy w tomiku więcej. Kiedy czytamy tytuł wiersza „Funkcje diody”, to oczekujemy rymowanego wykładu z zakresu obsługi elektronicznego sprzętu domowego. I tu poeta nas zaskoczy:

*Oprócz sygnalizowania
Trybu standby, czerwona dioda
Na ścianie urządzenia
Pełni funkcję boga*

Gdybym miał wskazać na jakąś antynomię w tomiku Banaszaka, wypukliłbym z jednej strony przywiązanie poety do piosenki jako gatunku poetyckiego („Piosenka o polityce”). Z drugiej strony natomiast dostrzegłbym pasję poety w odsłanianiu mechanizmów rytuału naszej codziennej mowy. Również tej, którą posługujemy w czasie świąt. Jak w wierszu „Boże Narodzenie”. Oto wyimek z naszych dialogów scalonych w potok słów:

*Tak że tak to jest, widzicie, poczuć magię
świąt, tylko teraz, a jeszcze pierogów wujek
poda, tamte chyba kupne, domowe, opłatek....*

Nie sądzę, by w tym kolażu poeta nas parodiował; by oczekiwał, że nasze rozmowy zawsze będą wypełnione treścią. Mamy jednak o czym myśleć.

prof. Jerzy Madejski
Przewodniczący Kapituły LWL

Michał Banaszak, „Miejsca”, wyd. na zlecenie Galerii Literackiej przy GSW BWA w Olszynie przez Drukarnię Grafpress, Olszyna 2018

FUNKCJE DIODY

*To się docenia, budząc się w środku
nocy. Obecność tej czerwonej
plamki. W całym pokoju
jedyna odróżnia się od ciemności.*

*Upewnia, że żyję,
uzmysławia, gdzie jestem,
przypomina, jak mam na imię,
pozwala ośwoić całkowicie
ciemną przestrzeń.*

*Oprócz sygnalizowania
trybu standby, czerwona dioda
na ścianie urządzenia
pełni funkcję boga.*

DZIURA W JEDNEJ ŚCIEŻCE

*Na końcu wyrwy, wyrtej jakby przez motocykl
olbrzyna, jest dziura, z której wystają korzenie
drzew rosnących obok ścieżki. Tam się po ciemku chodzi
spijając machmoli i zostawia w jej środku pustą butelkę.*

*Dziura jest zapiaszczona, czarna, nieoświetlona, śmierdząca,
wystają śmieci, na pewno popełnia się tam przestępstwa
i wykroczenia, ogrzana, oswojona, głucha, spokojna,
mijam ją codziennie i widzę, że się ciągle powiększa.*

*Tylko dzieci codziennie sobie biegają wokoło
przez park i nic ich nie obchodzi niczyje relacje
z dziurą, grają w piłkę i nie wiedzą, przechodzą obok
niej jak koło martwych ptaków. Ale zwykle w miarę*

*możliwości chodzi się raczej po parkowych chodnikach
i alejkach (ludzie tylko dyskretnie ją podpatrują),
bo to się wciąż wydaje bardziej naturalny habitat
skąd nikt niby nie interesuje się wcale dziurą.*

MIEJSCA

*Miejsce między grzejnikiem a ścianą,
miejsce nawet za dnia pełne cienia,
niewidzialne, odkąd powstało,
miejsce, w które zajrzeć się nie da,*

*zawsze obecne w moim życiu,
nieosiągalne, a tuż koło mnie,
jakby najślabsza forma bytu,
miejsce ledwo istniejące;*

*miejsca schowane, zasłonięte
czymś, czasem zostają tak na stałe,
a czasem zdarza się, na nieszczęście
być nieostrożnym i trafić na nie.*



Michał Banaszak – urodził się w 1988 r. w Zielonej Górze. Absolwent prawa i filologii angielskiej na Uniwersytecie Wrocławskim, obecnie na studiach doktoranckich w zakresie literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. „Miejsca” to jego drugi tomik poetycki, wydany został jako nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia. Pierwszy tomik – „Piosenka o rozpamiętaniu” – ukazał się w 2016 r. w ramach nagrody w Konkursie Poetyckim im. Anny Świrszczyńskiej „Książkowy debiut poetycki”.



TATA JEST OD TEGO

Tato piszesz na serwetce? A mieliśmy pogadać!
Przepraszam synku ja właśnie o tym
że jestem od tego by podtrzymywać twoją rękę
kiedy w hipermarkecie wyślizgujesz marmur
lub gdy przeskakujesz rozproszone po deszczu nieba.
I on wielki nie może tobie szorstko odpowiedzieć.

Bo tata jest od tego żeby nawet na ruchomych schodach
umieć się z tobą spierać o glutaminian sodu z dużej
paczki chipsów ale już w sklepie wziąć z półki
pomniejszoną o kompromis. W pizzerii miękko zwrócić
uwagę że z *ice tea* nie uda się wypuścić słomką baniek.

Bo tata jest od tego żeby rozpoznać gdy za twoimi plecami
telewizja bez fonii wikła news i poganianych kolbami
mógłbyś wziąć za uczestników zabawy w jedzie pociąg.
A potem zobaczyć jak się ich układa na pustyni w kolejowe
podkłady którymi wstrząsa przejazd złowrogiego widma
i z powrotem zabiera do prochu.

Bo tata jest od tego byś się wtedy nie odwrócił.
Zna twoją dorosłość i pyta o sosy ulubione dodatki.
O kolegów z nowej szkoły. Czy dogadujesz się z mamą?
Widujesz starszych braci. O gry u ciebie na topie.
A gdy oznajmiasz – Mam fajną strzelankę na tablet.
To choć zabijasz w niej tylko na niby i tych złych.
Tata jest od tego by się z tym nie godzić a jeśli trzeba
zapisać serwetkę tobie na jutro.

MAREK STACHOWIAK – (ur. 1963) laureat wielu konkursów poetyckich, m.in. nagrody głównej na VI Ogólnopolskim Festiwalu Poetyckim im. Wandy Karczewskiej w Kaliszu 2016. „Tata jest od tego” to debiut książkowy autora, wyróżniony nominacją do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2018.

Poeta, wielokrotny laureat Turniejów Jednego Wiersza. Prowodzi *Slamy Poetyckie* w ramach Festiwalu Poetyckiego „FurmanKa w drodze”. Wspiera i inicjuje wiele projektów poetyckich. Mieszka we wsi Ciecierzyc pod Gorzowem.

SKRYPT

Sorry to nie mój klimat i miałem tobie powiedzieć
że moja noga tu nie postanie. A potem już tylko
nie przewidywałem żadnego kłopotu z rękoma.
Chwywania za łokcie. Wkładania pod pachy.
Nerwowego splatania palców na brzuchu.
Zero zakłopotania obok kropielnicy tylko wyczekać
na chór gospel w którym śpiewasz zaraz po ogłoszeniach
żeby niewielki wiejski kościółek nasyciło importowane
sacrum.

Ale jednak stałem w środku i z mosiężnych tabliczek
przykręconych do ławek dedukowałem abonament na
miejsca siedzące.
8.30 małżeństwa. 11.00 wdowy. Zagłuszałem to coś
co szeptało mi w głowie – *ja ciebie chrzczę ja ciebie...*

DOM TRADYCYJNY L 11

Po dwóch piwach zapytałeś: *Czego ty kurwa chcesz?*
To było trzeźwiące aż się zastanowiłem
czy w istocie obchodzą mnie prawa seksualnych mniejszości.
Co im przyniesie Chrystus polski król?
Jak się napiszą księgi sędziów?
Konstytucja. Czy in vitro zastąpi boski cień?
Dokąd zajdzie marsz ONR?
Jeśli za płotem nie goreje mi krzew. Nie wywieszam flagi
a ogród zasobny mam w kamienie.

Rozstaliśmy się po trzecim nadal dobrosąsiedzko.
Wieczorem powiało zimną Zośką i rozpałałem dodatkem
ulubionej gazety.
Akurat płonęła mapa Szwajcarii którą zęgałem
ironicznym uśmiechem.
Ja frankowy mieszkaniec bożego zapiecka. Szczęściarz
który na raty za oknem ma las
mchy porosty braci mniejszych. Kluczem jeszcze trafia w zamek.
Pamięta gdzie parkuje auto. Zna lokalne księżycowe drogi.
Piaszczyste pobocza.
A dziury po meteorach niekiedy zaklina w zakrętach
trzykroć po niemiecku.
Któremu nawet ptaki na przydrożnych drutach siadają w nuty.
Czego kurwa mogę chcieć więcej – niż ciszy pod miotłą?

PANI Z SATURATOREM

Album ze zdjęciami starego Gorzowa stał się sensacją. A dotyczy tylko lat 60. i 70. ubiegłego wieku.

Na okładce saturator, z którego sprzedawano wodę gazowaną lub z sokiem. Piło się ze szklanki, dla wszystkich tej samej, tyle że przepłukanej odrobiną wody funkcjonującej w obiegu zamkniętym. Wózki należały do firmy MHD, czyli do Miejskiego Handlu Detalicznego. Sprzedawczyni ubrana była w biały fartuch i koniecznie białą chustkę na głowie. Daszek nad urządzeniem dawał poczucie chłodu. Bo woda z bąbelkami w upalny dzień to wtedy był naprawdę rarytas.

Saturator stał przy ulicy Juliana Marchlewskiego (dziś Wełniany Rynek) u wylotu ulicy Braniborskiej, a w tle widoczny jest budynek arsenału. Ani ulicy Braniborskiej, ani arsenału już nie ma. Na zdjęciu widać jeszcze druty linii tramwajowej, która jakby otaczała arsenał, aby z ulicy Chrobrego wjechać w dzisiejszy Wełniany Rynek. Obok jeszcze chyba kiosk, pan w garniturze na zakupach, pani w źle dopasowanym biustonoszu, dzieci zajęte zabawą...

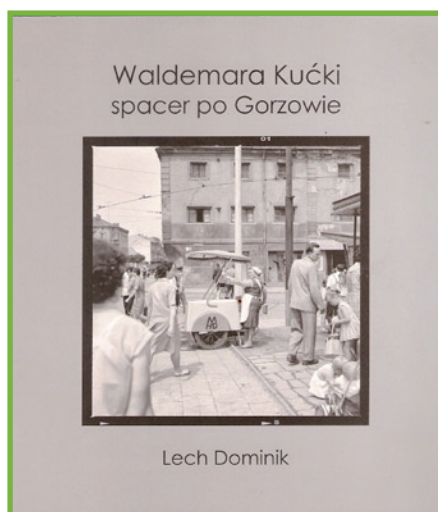
Fragmencik codziennego życia w centrum Gorzowa przed około półwieczem. Fizycznie miejsce to istnieje, ale wygląda zupełnie inaczej. Nie ma arsenału, nie ma ulicy Braniborskiej, inaczej się ubieramy, a na takie saturatory nie zgodziłby się Sanepid.

Waldemar Kućko pochodził z Wilna. W 1945 roku, jako 13-latek, z matką przyjechał do Gorzowa. W 1953 roku skończył Technikum Fotograficzne w Łodzi i wrócił do Gorzowa. Zatrudniony został w Zakładach Włókien Chemicznych „Stilon”, by dokumentować życie zakładu, potem jako fotoreporter związany był z redakcjami dwutygodnika „Stilon Gorzowski” i dziennika „Gazeta Lubuska”. Dokumentował życie „Stilonu” i Gorzowa. Chodził zawsze z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi. Zdjęcia robił – wydaje się – bez przerwy, ale zawsze miał duże ambicje artystyczne. W 1972 roku, jako pierwszy na Ziemi Lubuskiej, został przyjęty do elitarnego Związku Polskich Artystów Fotografików na podstawie zdanych trudnych egzaminów i wystawy artystycznych zdjęć.

Zmarł nagle w 1981 roku. Miał wtedy 49 lat.

Filmy z jego zdjęciami Elżbieta Kućko, żona Waldemara, przekazała do Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta. Szacuje się, że jest na nich około 32 tys. zdjęć. Długo czekały na opracowanie, ale nareszcie mamy narzędzia odpowiednie do ich przetworzenia i zachowania. Każde trzeba zeskanować i zapisać w formie elektronicznej. Doskonała współczesna technika ma też to do siebie, że wychwytyje każdą usterkę, plamkę, zaciemnienie, a wszystkie te mankamenty trzeba starannie usunąć. Obecnie w zasobach muzeum jest przetworzonych elektronicznie ok. 15 tys. zdjęć. Prace trwają.

Spośród ogromu zdjęć, które już są w dyspozycji pracowników muzeum, Lech Dominik, także artysta fotografik, wybrał tylko 340 do pierwszego albumu, bo w planach są następne.



Ułożył je w formie spaceru po Gorzowie w sześciu częściach:

I – Sceny rodzajowe, czyli rejestracja zwykłych scen i sytuacji z centrum miasta,

II – Arsenał – ulubiony motyw artysty, budynek stojący przy ul. Chrobrego, między ul. Jagiełły i Wełnianym Rynkiem, w zasadzie zabytkowy, ale w tamtych latach popadający w ruinę, w końcu rozebrany, bo przeszkadzał w układzie komunikacyjnym,

III – Rzeka Warta – do dziś niby ta sama, ale wtedy jakże inna ze względu na funkcję go-

spodarczą, jak i miejsce rekreacji,

IV – Jan Korcz – malarz, legenda artystycznego Gorzowa,

V – Miasto – obraz zmieniającej się architektury, miejsca, których już nie ma,

VI – Tramwaje – gorzowski znak rozpoznawczy.

Każde zdjęcie domaga się szczegółowej analizy, wychwycenia nawet drobiazgów, ale jakże ważnych dla życia w tamtych latach. No i zastanowienia, jak zmienił się Gorzów przez minione prawie półwiecze.

Waldemar Kućko najbardziej lubił zdjęcia w formacie 6 x 6 cm, czyli kwadratu. Dla wielu plastyków jest to format bardzo trudny, bo jakby sprzeczny z widzeniem świata ludzkim okiem. Natomiast dla Kućki był najbardziej wdzięczny, bo umożliwiał mu rozwinięcie obrazu zarówno w górę i dół, jak i na szerokość.

W albumie jest 340 zdjęć. Książka waży 1,20 kg.

Choć album wydany był w 500 egzemplarzach, dla co najmniej połowy chętnych zabrakło książek. W kolejce dominowali młodzi, dla których nazwisko Waldemara Kućki może być tylko częścią legendy o naszym mieście, bo przecież artyści nie znali. Na szczęście dyrekcja muzeum szybko zleciła dodruk i album już można kupić.

Ogromne zainteresowanie albumem ze starymi zdjęciami jest dowodem emocjonalnych związków mieszkańców ze swoim miastem, dowodem zainteresowania historią i kulturą. Tak duże zainteresowanie tym albumem i historią Gorzowa to oczywisty sygnał dla zarządzających kulturą, że forma i liczba ofert związanych z przeszłością powinna być znacznie większa. Jeszcze raz kłania się idea muzeum historii miasta Gorzowa.

Za album „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie” Lech Dominik dostał nagrodę za najlepszą książkę popularnonaukową wydaną w ubiegłym roku w województwie lubuskim, czyli tzw. mały Lubuski Wawrzyn Naukowy.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Lech Dominik, „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie. Lata 60. i 70.”, wyd. Nadwarciańskie Towarzystwo Upowszechniania Dziedzictwa Kulturalnego w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2018, 364 s.

Maria Borc

to nie depresja

to mrok
który trwa bez końca

życie straciło liście
przestało oddychać

czarną myśl podpalam
nie trawi jej ogień

odszedłeś na zawsze
zgasileś moją gwiazdę

błądę wypatruję
sama nie wiem czego

nawet w poszukiwaniu siebie
potrzebne jest
światło

koszałki opałki

wykłuły się
zwierają szeregi

walczą z człowiekiem
z jego godnością
nawet z listkiem figowym

darzą kochaniem bez miłości
litością bez miłosierdzia
zgoda bez przebaczenia

w sali wykładowej

dystybutor wiedzy
leje wodę
w dziurawe karnistry

robi się mokro
w płynnym stanie skupienia
przemierzam bezkres oceanu

na polanie rośnie

kłon o potężnym pniu
w jego słojach krąży historia
czas odsłania dawne dzieje
rozświetla cienie i blaski

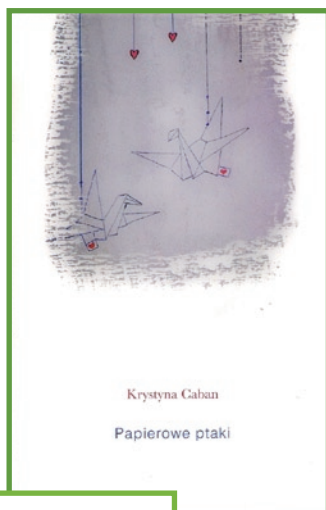
drzewa umierają stojąc
trudno przetrwać gdy
ze spękanej kory
żar spija żywicę

koronę chwały zamienia
na cierniową

Z ostatniego wydanego tomiku pt.
„W hotelarni świata”



19 lutego w Klubie MCK „Jedynka” spotkały się na promocji swoich najnowszych tomików wierszy dwie gorzowskie poetki średniego pokolenia Maria Borc i Krystyna Caban.
Recenzje czytaj na s. 22-23



Krystyna Caban

NIE MOGĘ ZNALEŹĆ

W bagażu szukam woreczka
do którego mama włożyła
przewiazaną pępowinę
miała przynosić szczęście
jak zwykle lichy nie śpi

encyklopedia pełna słów
żadne nie pasuje do przepowiedni

JEDNA PROŚBA

Zastanawiam się
o czym myśli spadający liść
chyba wiem

ja i on
kolor wiosny straciliśmy
lato się kończy
przed jesieni tarczą
staniemy

dlatego mam jedną prośbę
by nas nie deptano

JAK WSZYSTKO

Na stopniach pięciolinii
wyblakłe nuty

w rytmie na trzy-czwarte
otwieram nową stronę starego zeszytu

nie dziwi mnie nic
bo czego mogłam się spodziewać

trudno odczytać nazwisko autora
czyżbym traciła wzrok

ASEKURACJA

O świcie gasną latarnie
dozorca zaczyna pracę
i tylko w moim oknie
spuszczane są żaluzje

nie wyjechałam
ale niech tak myślą

TO NIEMOŻLIWE

Biegam po bezdrożach
wtapiam się w bezmiar natury
tańczę z wiatrem i ptakami
skąd wzięłam te skrzydła
na których wzbiłam się
ponad szarą rzeczywistość

Z przygotowanego do druku
tomiku pt. „Wypełnianie przestrzeni”

Janina Jaszka Jurgowiak

FURMANKA

(hymn festiwalu)

Furmanka to pojazd przyjazny poetom;
z nich każdy pojechać furmanką by chciał.
Wsiadają więc solo, po dwoje, po troje
i jadą w Parnasu podwoje –

Skrzydłata chabeta już rusza w cwał.
Niech żyją poeci!
Niech żyją poeci!
Ktoś spada, a inny znów wzlecieć by chciał.

Już Muzy witają, a słowa ich szczerze;
Apollo nazwiska odhacza markerem
Na słam im rozdaje słów ostre naboje
i prosi na dalsze pokoje.

Więc wchodzi, siadają i uczta trwa.
Tu nektar i wino się leje,
Niech żyją poeci!
Niech żyją poeci!
kielichy spełniają do dna.

A rano się budzą, już nie tak radośnie,
główkują, jak przelać na papier ten szal.
Furmanko, gdzie jesteś?
Furmanko z Pegazem?
Niech żyją poeci!
Furr – man!...

Krystyna Dziewiałtowska-Gintowt

PTASZKI NIE W KLATCE

Koniec upalnego lata
w słońskim ogrodzie.
Winogronowe kiście
tylko na wyciągnięcie ręki.
Słodycz węgielek pozwala
wierzyć w istnienie raju.
Brzoskwiniowy dywan sprzątam
wieczorem do przepastnych słoików.
Pod drzwiami wiadra gruszek
podrzucone przez sąsiadkę.
Orzechy czekają pod drzewem
w kolejce do zimowej spiżarni.

Naciagam na ramę czerwoną osnowę.
Zaczynam przygodę z nowym gobelinem.
Zielone mięsiste owoce kolczurki
wyschną w ażurowe szkielety,
pnąca chmielu oplotą je
srebrzystoseledynowymi szyszkami.
Nazbieram krwawnika, szczawiu,
lipy, pęcherznicy i bluszczu.
Uwiąję pąsowe gniazdko,
kalinowym osłonię je dachem,
zaświecę miechunkowe lampiony.

Kotka Mamrotka i suczka Werwa
doniosą nazajutrz z przejęciem:
żółte ptaszysko rozsiadło się w gobelinie
i nie chce odlecieć.

Takie cuda są tu na porządku dziennym

PAMIĘTAM

Objąłeś mnie i
pozwoliłam sobie na
szczęśliwą wdzięczność westchnienia.
Jak dobrze wracać do domu,
gdzie ty i czułość –
pamiętam.

Teraz pustka,
której nie zapelnia drobiazgi pamiątek,
umarłe fotografie,
osierocone potrzeby dotyku.

WIELKA CISZA

Wyszedłem z ciszy, wejść w ciszę;
po co w środku tyle zgiełku?
Narodzi się coś świętego?
Nie od razu, pomaleńku...

Tyle razy się rodziłeś
i nadzieja z Tobą rosla.
Nauczałeś: – Nie wstyd padać,
najważniejsze, żeby powstać.

Więc wstawiałam, brałam krzyż
i znowu ruszałam w drogę.
I piekliłam się o wszystko
z życiem, losem, z Panem Bogiem.

I pytałam wciąż: – Dlaczego?
(Najgłupsze w świecie pytanie)
A co będzie, jak upadnę,
nie podniosę się, nie wstanę?
Odpowiada Wielka Cisza...

I nagle wszystko pojmuję:
– Panie Boże, wybacz, proszę,
już niczego nie żałuję.

Janina Jaszka Jurgowiak

Jolanta Karasińska

SMS

oczekuję na twój sygnał
na słowa zamknięte
w wymownych oznacznikach
chcę wierzyć, że mimo wszystko
jesteś
nie lubię czerwieni
spala energię i niesie niepokój
skutecznie gryzie do bólu
zabiera ciebie i porzuca bez oporu
do kolejnego przywołania
a ty układasz zmyślane bajki
niekoniecznie dla dzieci
w które sam nie wierzysz.



POEZJA I KAWAŁKI PROZY

*W nocy świeciło słońce
i było tak pięknie
Zadzwonił budzik
i zeszedł na ziemię.*

Wiersz, który otrzymałem, bardzo ładny, czyli jest taki, jaki był Pani sen, więc lekki i piękny, jeśli w nocy „świeciło słońce”, co niesamowite samo w sobie, i jednak się zdarza. Kto tak potrafi napisać? Ale w tym kontekście wręcz doskonała jest końcówka, czyli puenta – kontrast wobec zapisananej wcześniej sennie, wyjątkowej rzeczywistości, po której doznaje Pani nagłego, ostrego schodzenia na ziemię. Do tego zmusza dzwonek budzika, bardzo okrutnego budzika. Znają to bolesne uczucie ci zwłaszcza, którzy wcześniej wstawali i wstają do pracy, a tak chciałoby się dalej spać, śnić i przebywać w innej rzeczywistości, która jest lepsza od codziennych chropowatych spraw. Zaletą Pani wiersza jest też to, że w kilku linijkach został zarysowany obraz podmiotowej sytuacji, co oznacza, że nie chodzi o drobne skojarzenie, o złożenie byle słowa do słowa, by zrobić wiersz, ale o klimat wiosenny i senny, lirycznie zaakcentowany. I doświadczenie dramatu.

Wszystko, co odbiega od rutyny codzienności i ma w sobie jakieś piękno, jest mi bliskie, bo pomaga, pomaga, pomaga. Zarazem ratuje. Nie chodzi o sprawy wielkie, ale o to, o czym da się dłużej myśleć. Tak jest u mnie, chyba nie tylko u mnie, tylko że czasem późno człowiek to sobie uświadamia. Niekiedy bardzo późno. W samotności.

Tego Pani nie wie, bo nie mówiłem. O poezji rozmyślałem na swój sposób w dzieciństwie jako 10-latek, owszem raczej marzyłem wtedy. Opuszczałem dom i wędrowałem, gdzie oczy poprowadzą. Poezja (teraz wiem) towarzyszyła mi na leśnych, polnych, łąkowych ścieżkach i drogach. Potem w różnych kolejnych życiowych momentach coś szczególnego się powtarzało, mimo odmiennych realiów. W różnych przeżyciach i sytuacjach życiowych przypominałem sobie o niej. Po przeczytaniu Pani wiersza też filozofuję na ten temat. Wiem na pewno to, że poezja musi być o coś oparta, o jakieś przeżycie, emocje, doświadczenie, wtedy nabywa potrzebny słowu ciężar, znaczenie i dozę prawdziwości człowieczej. Pani do tej tonacji dotarła. Znam tę drogę. Oby udało się zachować jak najwięcej tych właściwości.

Piękno tchnie, migocze, idzie, pojawia się, nawet nie wiemy, jakimi drogami idzie, w jakich miejscach, przestrzeniach są jego miejsca, dobre, czułe, wiemy tylko tyle, że chcemy z jego nieskończonych zasobów zaczerpnąć. Żeby mieć w codzienności swoją rację.

Alternatywą dla naszego życia (jego sensu) są różne znaki, niczym niepołączone. Czy da się żyć szaro, długo, uciążliwie, ciągle, z dnia na dzień. I z godziny na godzinę ubierać się

w co innego, byleby wyzbyć się jakichś kłopotów, aż do zmęczenia biec, kupić jeszcze jedną rzecz niepotrzebnie potrzebną. I następnego dnia znowu to samo.

*

Zadzwonił telefon. Już miałem kluczyki do auta w ręce, buty na nogach, ubrany byłem ciepło. By jechać do Zielonej Góry, ale coś kwiliło w środku, mocno i najciszej jak można, jak pisklę, jak dziecko. No i Pani po drugiej stronie odezwała się w samą porę. Pisanie drobnych spraw, tylko bardzo moich, w jednej chwili wzięło górę, więc do jutra odłożyłem wyjazd. Dobrze zrobiłem, prawda, jutro też załatwię, co chciałem dzisiaj. Choćby jedną linijką trzeba sobie zasłużyć na szklankę herbaty, kromkę chleba i na czyjś uśmiech.

M. pyta, co słyszał u mnie. Więc. Słyszał raczej coraz mniej, a co słyszał, o tym też już coraz mniej wiem. W biogramie można podać, że coś tam napisał i próbuje żyć z różnym skutkiem.

„Szczypiopek i zioła prowansalskie dodają do potrawy. Nie maluję i nie robię nic pożytecznego. No może poza pisaniem z Panem. Kawę piję w pojedynkę i nie smakuje. Teraz muszę rozpalic ogień, posprzątać to, co z dworu naniósł pies, obrać ziemniaki, może trochę napiszę, bo mam melancholiczny nastrój, ale co? Wyślę Panu cokolwiek powstanie”.

*

U Pani i u mnie ta sama pora dnia. Życia. Natchnienia. Pani maluje, a ja chciałem coś zrobić ze słowami, mam taki ku temu nastrój, jednak już późno, zimno, napiję się herbaty, później wrócę do komputera, teraz do prac drobnych, domowych trzeba mi iść, do rąbania drewna na kawałki, do popiołu, bałaganu pospolitego, do liści po zimie, drogi są żmudne, słowa poukrywane. Niektóre gorzkie.

Słońce wstało, jeszcze wstało, jest sobota po piątku. Obudziłem się dość późno, słońce świeci tak samo, a jakby inaczej, bo w środku snuje się zamyślenie. Teraz pojawiają się we mnie i wokoło kolejne rzeczy, nowe słowa, zdania, milczenia, myśli, które coś znaczą i będą znaczyć. Niektóre dadzą radość, inne nasączą bólem. Tyle wiem.



*Nagrodzony Wawrzynem 2014 tom Czesława Sobkowiaka
„Światło przed nocą”*

DZIEŃ, W KTÓRYM DOSTAŁEM TRZY RAZY W GĘBĘ

Jest poniedziałek. Obudziłem się o ósmej i jestem czarny. Gdyby to nie dotyczyło właśnie mnie, byłoby śmiesznie, ale nie jest. Macham na to ręką i pędzę do pracy. Nie dane mi tam jednak dotrzeć. Zanim minę dwa skrzyżowania, spotykam pięciu skinów, którzy wysyłają mnie na drzewo i po banany. Chciałbym się wytłumaczyć, ale z moich ust wychodzi blues. Na szczęście nie ma u nas pól bawełnianych i dostaję tylko trzy razy w gębę.

Kiedy odzyskuję przytomność, już nie jestem czarny. Jakie szczęście! Dotykam obolałej twarzy i natrafiam na długie włosy, zwisające wzdłuż uszu. Przede mną kałuża. Spoglądam. Już wiem, co za lichy: jestem Żydem. Kręcę się niespokojnie, aż nagle stoję nieruchomo i zaczynam odmawiać Szemone esre. Uwierzcie: nie mówiłem wcześniej po hebrajsku! Wtedy ktoś pluje pod moje nogi.

– Won, parchu, do Izraela! – krzyczy ten ktoś.

Jakaś kobieta odwraca się i patrzy na mnie z nienawiścią. Ostatnie, co pamiętam, zanim stamtąd ucieknę, to krzyk: morderca Jezusa!

Wpadam do podziemnego przejścia i biegnę, co sił w nogach. Kiedy wydostaję się z tunelu, już nie mam na sobie tałesu. Już nie jestem...

– Patrzcie, ludzie, pierdolony Cygan! Chować portfele! – krzyczy czerwona gęba.

Trochę śmiechu, ale poza tym nie ma w tym nic zabawnego.

— Powróżyć, powróżyć? – powtarza jak mantrę menel i dęga mnie brudnym paluchem w pierś.

Wokół mnie już powstało zbiegowisko. Chciałbym coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczynam tańczyć i śpiewać „Ore, ore”. Nie mogę przerwać; dopiero czyjeś uderzenie w plecy przywraca świadomość. Tłum się śmieje i bawi w najlepsze. Korzystam z okazji i uciekam. Przed sobą widzę wejście do galerii handlowej. Uśmiecham się do swoich myśli: tam, wśród tłumu, nikt mnie nie znajdzie. Nie zauważam jednak wywieszki z napisem: uwaga awaria drzwi automatycznych – wejście obok, i uderzam głową w wielką szklaną taflę. Na czole guz wielkości piłki. Odgarniam ręką włosy... Włosy? Skąd u mnie takie długie włosy? Dostrzegam swoje odbicie w szklanych drzwiach. Z tamtej strony patrzy na mnie kobieta. Fajnie, myślę, nareszcie jakaś dobra odmiana, ale to tylko złudzenie.

– E, zboku, chcesz wpierdolić?

W odbiciu szyby widzę dwa rośle „karki”. Chciałbym ostro odpowiedzieć, może nawet zacisnąć pięści, być może uderzyć, a tymczasem z gardła, w dodatku falsetem, wydobywa się zalotne:

– Oj, chłopcy, nie bądźcie wulgarni, dziewczynki tak nie lubią...

Zanim „chłopcy” ochłoną, więcej tak szybko, na ile pozwalają buty na szpilkach. Klnę pod nosem (nadal falsetem) i wpadam na przejście dla pieszych. W tym momencie jakiś baran wjeżdża samochodem prosto na mnie. Na szczęście to tylko maluch i jeszcze nie zdążył rozwinąć maksymalnej prędkości, ale i tak siła uderzenia usadza mnie na asfalcie. Wstaję, otrzepuję spodnie (hura, mam znowu spodnie!) i podnoszę z ziemi sporej wielkości zawiniątko. Ruszam dalej, jakby nic się nie stało. Po około dwustu metrach docieram do niewielkiego placu. Spod pachy wyciągam rulon i rozwijam go na chodni-

ku. Ha, to dywanik. Ściągam buty i stoję na nim z uniesionymi rękoma, wołając: „Allah akbar”. Później padam na kolana. Nie wiem, o co chodzi, ale zaczynam głową bić o ziemię...

– Ej, brudasie, wstawaj i wyrwyj stąd, to nie meczet!

A więc jestem muzułmaninem, odkrywam. Cudownie, za chwilę trafię do raju, ale nie będzie tam żadnych hurys...

Ten, który wołał, trzyma w ręku laskę. Jego dłoń mocno zaciska się na jej krańcu.

– Uwaga! – ostrzega nowo przybyły widz. – Może mieć bombę i wszystkich nas wysadzi!

Pomruk gniewu. Ludzie odsuwają się ode mnie. Ktoś znajduje kamień i rzuca w moją stronę. Trafia w łuk brwiowy. Krew sika na spodnie, dywanik... Chwiejąc się, wstaję. Sięgam ręką pod sweter. Tłum rozbiega się z krzykiem. Korzystam z chwili i najszybciej jak potrafię uciekam.

Biegnę kilkanaście minut. Uważam, by nie trafić na tunel, zwracam uwagę na szklane drzwi i szarżujące maluchy. Po półgodzinie docieram do swojego bloku, wbiegam na trzecie piętro i wreszcie jestem w mieszkaniu. Zamykam drzwi na klucz, patent i dodatkowo zakładam łańcuch. Oddycham ciężko, ale wiem, że zmęczenie za chwilę minie. Szczęście z przywróconej tożsamości już zagościło we mnie, jest tak wielkie, że niemal namacalne. Wchodzę do łazienki, patrzę w lustro. Wszystko w porządku. Znowu jestem sobą. Rana na twarzy już nie boli. Biorę prysznic i kładę się do łóżka. Leżąc, próbuję zastanowić się nad dzisiejszymi wydarzeniami. Nic specjalnego nie przychodzi mi do głowy, poza tym wycieńczenie daje o sobie znać i nie mogę wykrzesać sił, by znaleźć jakieś racjonalne rozwiązanie tego, co się zdarzyło. Jutro pomyślę, mówię półgłosem, i zapadam w głęboki sen.

Kurwa, kurwa, kurwa! Nie nastawiłem budzika! Jest ósma pięćdziesiąt. Nie ma szans, żebym zdążył do pracy. Wczoraj nie dotarłem, dzisiaj spóźnienie. Co za dzień! Zrywam się na równe nogi. Prysznic, ciuchy i w drogę. Zbiegam z piętra i stoję w miejscu. W połowie schodów stoi wózek inwalidzki i zagradza drogę. Na wózku facet z czwartego. Przed wózkiem jego ojciec próbuje wydobyć zaklinowane w metalowej barierce kółko. Barykada nie do przebycia. Kurwa, tego jeszcze brakowało, klnę w myślach. Facet z wózka spogląda na mnie z uśmiechem. Nie przeprosza, tylko się uśmiecha!

– Czego się szczerzysz, łamago! – krzyczę. – Nie możesz w domu siedzieć, jak każdy złamas?

Mężczyzna poważnieje. Odwraca głowę, garbi się w sobie. Jego ojciec uwalnia kółko, spycha wózek na bok.

– Nareszcie, kurwa! – wołam triumfalnie i zbiegam na dół, pokonując po trzy stopnie naraz. Jeszcze drzwi i wypadam na ulicę.

Skórka od banana, którą wyrzucił jakiś dzieciak, czeka właśnie na mnie. Moja lewa noga ląduje prosto na niej. Poślizg podrywa prawą kończynę i unosi ją nienaturalnie wysoko. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie zdążyłem wyciągnąć rąk, by zamortyzować upadek: walę plecami w chodnik, aż dudni. W oczach gwiazdki, głowa pęka z bólu. Ktoś nachyla się nade mną i coś mówi, ale w uszach odzywiają się wszystkie dzwonki świata. Kręcę głową na znak, że nie słyszę. Wtedy twarz pochyla się niżej i wystarczająco głośno woła:

– No jak, asfalcie, długo masz zamiar tutaj leżeć? Powietrze psujesz, czarnuchu! Won do Afryki!

Patrzę na swoje dłonie. Jestem czarny...

PIKUŚ

Pies był brzydki. Nawet nie dlatego, że nierasowy – po prostu był brzydki; miał skołtunioną sierść i zapalone oczy. I śmierdział. Nie musiał nawet rozwierać pyska, by wokół niego czuło się feter, ale gdy go otwierał, smród przechodził w wyższe rejestry i stawał się nie do zniesienia. Pies, jakby wiedząc o tym, co i rusz wystawiał brudne kły na powietrze, czy to, żeby zaczerpnąć tchu do wychudzonej klatki piersiowej, czy też, by ich szczerzeniem dać do zrozumienia ewentualnym wrogom, że jeszcze potrafiłby się obronić. A wrogów miał wielu: od starego listonosza, roznoszącego pocztę w dzielnicy, po której się kręcił, poprzez wszystkie matki obawiające się o swoje dzieci, aż po inne psy, na które trafiał podczas wędrówek. Nawet one omijały go z daleka i warczały, dając do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany. Jednak pies nie zwracał na to uwagi. Miało się nawet wrażenie, że świadom siły swojego oddziaływania, przechadza się jeszcze dostojniej po ulicy i nic nie robi sobie z kamieni, którymi go obrzucano. Od czasu do czasu przystawał, odwracał łeb w stronę przeganiających go ludzi i otwierał pysk najszerzej jak potrafił; a ustawiał się zawsze z wiatrem tak, by nawet najmniejsza ilość smrodu trafiła w miejsce swojego przeznaczenia. Gdy wokół rozlegały się ludzkie okrzyki, machał ogonem i szczerzył brudne zębiska w czymś, co przywodziło na myśl uśmiech, a później spokojnym i majestatycznym krokiem oddalał się w sobie tylko znane miejsce. Nie obchodziło go, co pozostawia za sobą; przed nim był następny etap życia.

Nie powiem, żeby był moim ulubieńcem (ten straszny smród!), ale kibicowałem mu z całego serca i życzyłem, oczywiście po cichu, by w końcu znalazł przyjazny dom.

Któregoś dnia zniknął. Nie widziałem go przez tydzień. W niedzielę wyjrzałem przez płot na ulicę, żeby sprawdzić, czy przypadkiem się nie pojawił. Z zadumy wyrwał mnie głos:

– Zajeżdżał śmierdziela.

Naprzeciwno, po drugiej stronie ulicy, stał sąsiad i uśmiechał się promiennie.

– Niech się pan nie boi, to bydlę już tu nie wróci – powiedział. – Zajeżdżał śmierdziela – powtórzył i zachotał.

Jest taka cisza, której nie da się przekroczyć. Taka nastała właśnie wtedy. Nie odpowiedziałem, ale też nie rzuciłem się na niego, nie dałem w mordę, tylko stałem, uśmiechając się głupkowato. Mężczyzna, zadowolony i radosny, oddalił się w kierunku domu, a ja ciągle stałem przy płocie, wpatrując się w pustą ulicę.

– Pierdolony pies – wyszeptałem i po chwili również ruszyłem w stronę domu.

W nocy alarm samochodowy zbudził pół dzielnicy. U sąsiada spłonął garaż wraz z zawartością dwóch nowych aut, a smród spalenizny, który po tym wydarzeniu pozostał, utrzymywał się jeszcze przez kilka tygodni. Feter, jaki wydzielał tamten pies, to był przy tym naprawdę pikus...

BOHATEROWIE
KOMIKSOWYCH
MARZEŃ

taka historia też mogła się wydarzyć
bo wyobraźcie sobie ją
ukryta w koronkach bluzek
i plisowanych spódniczek
z grzywką na czole i zasłonami powiek na oczach
jakoś tak ciągle niepatrząca
smutna żeby nie rzec samotna
i teraz on
istna dupa nie facet
okulary przynoszące pecha i pech do kobiet
goszczący od zarania
nawet nie mówię o włosach bo prawie ich nie ma
choć według wieku powinien mieć lwia grzywę

i myślicie że tych dwoje się pokocha?
no żarty ona startuje wysoko. boeingi jej myśli
krążą wokół słońca. za daleko jej do ziemi
i tam już nawet nie spogląda.
a on. szalony nikt. bohater własnych opowieści
w których ten on zabija tamtych ich a ta
ruda z pieprzykami rozsianymi po słonecznej
stronie ud zakochuje się właśnie w nim.
oboje we śnie a sen się nie chce śnić.
ona z tymi samolotami zostanie do końca
a on będzie walczył o rudą nie wiedząc po co
a mogliby.
lecz świat byłby nudny gdyby im się udało
i robi wszystko żeby ciągle było o czym opowiadać

JUDIT/YVETTE

między nami bigos i osławiony paprykarz
tokaj wódka i ruski szampan pity po drugiej stronie dunaju
z zachwytem bo wasz parlament miał zachodni szyk
mamy jakieś młode lata
tylko cholerny świat nie chce tego dostrzec
u mnie zaraz zacznie się wojna
a u ciebie o tym wszyscy chcą zapomnieć
mieliśmy wtedy szansę na miłość
/jak w tym powiedzeniu „polak węgier dwa bratanki”/
i chociaż nasza miała być prawdziwa
to nie był dobry czas na kochanie

na starym dworcu keleti zęgnałaś mnie do jutra
a tak naprawdę aż na zawsze

czy można za to wytoczyć proces durniom tamtych czasów?

GORZOWSCY PISARZE PRZED WYBORAMI

Minęły cztery kolejne lata pracy Zarządu Oddziału odmierzane kolejnymi premierami książek i spotkaniami poetów i pisarzy z ich czytelnikami w Salonie Literackim Książnicy, którego ściany obwieszone są na stałe karykaturami twarzy gorzowskich literatów rysowanych piórkiem i pędzlem artysty i naszego przyjaciela Zbigniewa Olchowika. W centralnym miejscu foyer WiMBP im. Z. Herberta przybija rzeźb tych, których pożegnaliśmy na zawsze. Ich wykonanie sponsorują gorzowscy ludzie biznesu. Po pomniku Papuszy, popiersiach Zdzisława Morawskiego i Ireny Dowgielewiczowej na pierwszą rocznicę śmierci Kazimierza Furmana przyjaciele poety ufundowali mu popiersie z brązu dłuta Andrzeja Moskaluka, a następnie nawet pomnik, który stanął u zbiegu ulic Dąbrowskiego i Jagiełły przy klubie jazzowym „Pod Filarami”. Pomyślnie zakończyły się trwające dwa lata bliżej nieokreślone spory kompetencyjne nad lokalizacją tego pomnika. Sumienne opracowanie bibliograficzne w postaci osobnej książki otrzymali od WiMBP Zdzisław Morawski, Włodzimierz Korsak, Papusza i Kazimierz Furman. Ten ostatni dostał także tom poezji w twardej oprawie z utworami odnalezionymi w archiwach pt. „Niedomówienia”. Natomiast Z. Morawskiemu, z naszej związkowej inicjatywy w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, wydaliśmy w moim wyborze i redakcji książkę pt. „Rzecz o doręczności”, w kształcie i objętości, jakiej nie doczekał się za życia, też w twardej, ale i w miękkiej, tańszej oprawie. Weszły do niej prawie wszystkie wiersze z dorobku naszego księcia poetów i wiersze jemu dedykowane, solidne opracowanie krytyczne pióra Czesława Sobkowiaka i biografia poety. W ten sposób uczciliśmy dwudziestą rocznicę jego śmierci. Tym pięknie, że ta książka otrzymała pośmiertny Wawrzyn, który w Zielonej Górze odebrała wdowa po poecie, Maria Morawska.

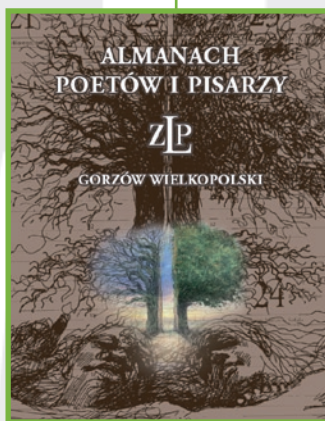
Niestety, w tej IV kadencji nie uniknęliśmy strat na naszej związkowej liście członkowskiej. Pożegnaliśmy na zawsze wybitnego poetę i eseistę księdza Marka Grewlinga, uznanego nie tylko w Polsce poetę i rzeźbiarza z rodu Sinti Karola Parno Gierlińskiego i w Deszcznie jedną z ostatnich w Polsce poetek ludowych Stanisławę Plewińską. Pamięć o naszych pisarzach, przypomnianie ich dorobku jest jednym z podstawowych obowiązków, ale i przywilejów Zarządu Oddziału. Nie pomijamy ich twórczości w antologiach śródowiskowych, jak np. w obu edycjach starannie wydanych w 2017 i 2018 r. „Portretu poetyckiego miasta Gorzowa i jego mieszkańców”, a także w czasopiśmie literackim „Pegaz Lubuski”. Jeszcze w tym roku ukaże się nowa, uaktualniona wersja „Almanachu Poetów i Pisarzy ZLP” jako 93. książka w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, która obejmie prezentacje biogramów, zdjęć, kopii okładek i fragmenty dorobku twórczego wszystkich członków naszego Oddziału oraz przypomnienie tych, których już nie ma między nami. Z całym rozmysłem opieramy się na tradycji literackiego Gorzowa, którą w swoim ideogramie przyjął Zarząd I kadencji, wybrany 6 grudnia 2004 r. Kolejne – wybrane w 2007, 2011 i ostatni w 2015 w składzie: Ireneusz K. Szmidt – prezes, Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk – wiceprezes, Krzysztof

Ansilewski – sekretarz, Krystyna Caban – skarbnik i Roman Habdas, dodały do niej nową ilość i jakość prac tu powstających i podejmowanych działań. Myślę, że nowy Zarząd także podejmie ideową i organizacyjną ciągłość naszego w Gorzowie istnienia. Stąd tak istotną rolę upatrujemy w tworzeniu śladów po pisarzach, którzy tu byli, tworzyli i oddali nam i miastu swój talent i pracę.

Próbowaliśmy kilka razy, ze zmiennymi efektami, działań „politycznych” w sferze kulturotwórczej, jak np. na spotkaniu Zarządów Oddziałów gorzowskiego i zielonogórskiego w miejscu symbolicznym, bo w Paradyżu, poświęconemu reformie organizacji i regulaminu Lubuskich Wawrzynów Literackich, zakończonemu mądrym protokołem i listami do Panów Prezydentów obu wojewódzkich miast. Trochę się polepszyło, ale najmniej w literaturze.

W odpowiedzi na zaproszenie przez Biuro Konsultacji Urzędu Miasta Gorzowa Wlkp. przedstawicieli organizacji pozarządowych działających na rzecz Miasta Gorzowa Wlkp. i jego mieszkańców do wnoszenia propozycji/uwag do projektu Programu współpracy Miasta z organizacjami pozarządowymi i innymi podmiotami na 2016 rok pozwoliłem sobie w imieniu Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich zaproponować do ewentualnej realizacji, jako priorytetowe (po likwidacji czasopisma „Lamus”) przekształcenie czasopisma „Pegaz Lubuski” w dwumiesięcznik o powiększonej objętości, w kolorze i poszerzony o tematykę kultury wysokiej i powszechnej. Nawet w obecnej czarno-białej szacie pismo nasze jest wysoko cenione przez wybitnych polskich pisarzy i krytykę literacką. By dokonać tych zmian, potrzebna jest przynajmniej przez dwa lata pomoc finansowa Miasta Gorzowa, którego pismo jest wizytówką, chwaloną za zawartość, ale żal, że w siermiężnej szacie. Dziś tak się pism artystycznych już prawie nigdzie nie wydaje. Nie uzyskaliśmy na to dotacji ani bezpośrednio z Urzędu, ani w konkursie ofert. Mimo to nie zaniechaliśmy wydawania „Pegaza” – w formie papierowej bez zmian, ale w kolorze na portalu WiMBP i na stronie www.zlp-gorzow.cha.pl. Linki do 76 numerów pobierają redakcje internetowe wielu innych portali interesujących się polską literaturą. Wystarczy w Googlach wpisać tytuł naszego czasopisma. O zestaw wierszy gorzowskich poetów poprosił redaktor naczelny warszawskiego miesięcznika „Poezja Dzisiaj” Aleksander Nawrocki. Opublikował nas na kilkunastu stronach. Ja w zamian opublikowałem w trzech numerach w 2016 r. poetów z kręgu autorów warszawskich związanych z tymże pismem. Obecnie przygotowuję cztery kolumny poetów gorzowskich dla gdańskiego czasopisma literackiego „Migotania”.

Wiele dobrego dla gorzowskiej literatury i ich czytelników czyni w swojej aktywności pozaradiowej wiceprezeska Oddziału, poetka i dziennikarka Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, od kilku lat organizując bądź moderując spotkania z poetami i pisarzami oraz o poetach i pisarzach w filiach WiMBP i innych miejscach, gdzie w Gorzowie są ludzie zainteresowani literaturą „na żywo”. Prowadzi też warsztaty dla seniorów w Klubie Senior Plus i dla dzieci w Klubie Stowarzyszenia św. Eugeniusza de Mazenoda na ul. Śląskiej oraz w Hospicjum



św. Kamila. Ich rezultatem są dwie książeczki „Jaskółka – (nie)bajki o marzeniach” oraz „Opowieści o przyjaźni”. Miała swój udział w spotkaniach kulturalno-kulinarnych: „Gorzów 12 smaków” i „Gorzów/Landsberg – miejsce pamięci”, którego zwieńczeniem było wydanie książki o tym samym tytule. Współorganizuje i programuje także festiwal poezji im. Kazimierza Furmana pn. „FurmanKa” – tegoroczna edycja odbędzie się 23-25 maja, z udziałem pisarza Jakuba Małeckiego, barda i poety Jana Kondraka oraz aktorki Caryl Swift.

Podobnie z tego miejsca dziękuję byłej kandydatce naszego Związku, co niedopełniła formalności i dlatego nie uzyskała, niestety, statusu członka zwyczajnego ZLP, Beacie Patrycji Klary, która niestrudzenie organizuje wiele pretekstów do poetyckich spotkań poetów gorzowskich, nawet szerzej – lubuskich, z twórcami z różnych środowisk literackich Polski, w mających już swoją widownię „Spotkaniach w pół drogi”, na „FarmieLiter” i w „Czytaniach rocznicowych”. Z jej inicjatywy zakwitła na Walentynki w parku Róż „Drzewo miłości”, z wiszącymi miast liści zafoliowanymi naszymi wierszami, promocje książek poetyckich w „Jedynce”, „Wiersze na Kwadracie”, poetyckie spamy itd., a w parze z Agnieszką kilka edycji „FurmanKi” i „FurmanKi w drodze” oraz „Literackie potyczki” w kawiarniach „Corto Cafe” i „Łubu-dubu”.

Systematycznie, jak w poprzednich sezonach, odbywały się i odbywają spotkania z czytelnikami i autorami kolejnych numerów „Pegaza Lubuskiego” oraz książek wydawanych w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, na których coraz trudniej znaleźć wolne krzesła. Traktujemy je jako otwarte zebrania naszego związku twórczego, gdyż wśród gości tych imprez, których jesteśmy z WiMBP współgospodarzami, nie brakuje także autorów niezrzeszonych. Wśród nich upatrujemy naszych potencjalnych związkowych koleżanek i kolegów.

Dzięki kolejnym książkom, przedkładanym przed Komisją Kwalifikacyjną ZG, do grona członków zwyczajnych Oddziału dołączyli w IV kadencji, po wydaniu kolejnych książek, rekomendowani przez prezesa Zarządu Oddziału: pisarz-podróżnik Marek Bucholski, poeta i prozaik Artur Wodarski oraz poeta-satyryk Ferdynand Głodzik – twórca i admin strony internetowej naszego Oddziału www.zlp.gorzow.cba.pl. Niebawem mogą dołączyć do nich następni poeci: Agnieszka Moroz i Maria Borcz. Obie panie spełniają już kryteria wymagane przez Komisję Kwalifikacyjną przy Zarządzie Głównym ZLP.

W roku dziesięciolecia Oddziału – 2014 – w programie wydawniczym Oddziału w ramach Biblioteki Pegaza Lubuskiego ukazało się 15 tomików poetyckich objętych wspólną obwolutą-portfelem Klubu Poetów Okrągłego Stołu. Wśród autorów było aż pięcioro debutantów, nadzieja na przyszłość literatury Gorzowa. Po kolejnych pięciu latach liczba woluminów Biblioteki Pegaza Lubuskiego wynosi 92 pozycje. Oprócz naszego zetelpowskiego wydawnictwa program wydawniczy realizuje WiMBP im. Zb. Herberta. Obok książek regionalnych, popularnonaukowych ukazało kilka ważnych dla środowiska gorzowskich pisarzy książek zawierających literaturę piękną: dwie obszerne antologie zawierające wszystkie utwory gorzowskich satyryków Jana Grossa („Od przedszkola do ramola”) i pełny przegląd dorobku aforysty

i fraszkopisarza Tadeusza Szyfera („Pikantne (z)dania do wymśniewania”). Obszernego wyboru utworów poetyckich i opracowań krytycznych doczekałem się i ja na swój jubileusz 80-lecia życia i 65-lecia pracy twórczej w księdze pt. „Odpowiedź na pytanie Hamleta”. Poza dziełami literackimi WiMBP edytuje serię opracowań bibliograficznych autorów gorzowskich. Dotychczas ukazały się bibliografie Włodzimierza Korsaka, Zdzisława Morawskiego, Kazimierza Furmana i Papuszy.

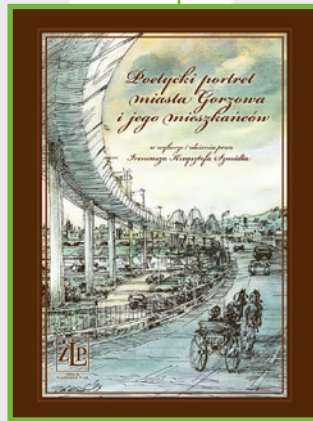
Jeszcze kilka słów o naszej „agencji” związkowej. Czasopismo literackie „Pegaz Lubuski” jest pismem środowiskowym, nastawionym na integrację i rozwój środowiska pisarskiego północnego regionu Ziemi Lubuskiej. Pismem warsztatowym wydawanym raz na kwartał poligraficzną techniką komputerową, w nakładzie 300 egz., dzięki finansowej pomocy naszego patrona WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie. Pomoc ta pokrywa koszty składu i druku. Autorzy, chcący być publikowani, niestety muszą rezygnować z honorariów i nawet na zamówienie piszą za darmo. Czasopismo istnieje już 15. sezon i gorzowski Oddział ZLP umacnia się i rośnie także dzięki „Pegazowi”. Z 10 członków zwyczajnych w 2004 roku, gdy zakładałem w Gorzowie Oddział – w grudniu 2014, na X-lecie było nas 26. Obecnie, mimo strat losowych, utrzymujemy ten stan liczbowy Oddziału.

W dniu złożenia naszej kadencji i wyborów nowego Zarządu wyjdzie 76. numer „Pegaza Lubuskiego”. BARDZO SOBIE CENIMY spotkania na promocjach naszego pisma z czytelnikami i autorami numeru. Jest ich coraz więcej – rośnie środowisko zainteresowane naszą literaturą. Na imprezy promocyjne „Pegaza Lubuskiego” przychodzi do naszej księżnicy średnio ok. 70 osób, tak jak na promocję kolejnych książek wydawanych w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego. W ciągu 15 lat istnienia tej agencji naszego Oddziału wydaliśmy 92 wol. naszych książek. W tej liczbie 20 debiutów. Ustupający Zarząd otrzymał w wyniku konkursu ofert org. pozarządowych w 2019 r. na kontynuację działalności wydawniczej 10 tys. zł z Urzędu Miasta. Nowy Zarząd będzie mógł zrealizować tegoroczny plan wydawniczy z niewielkimi korektami kosztów ograniczonych tą sumą. Na koncie Zarządu w Alior Banku mamy zabezpieczone środki na tzw. udział własny. Niech rzadzi i dzieli, na ile będzie go i nas stać. Byle nie stanąć. Ostatnio wspólnie ze Sławomirem Szenwaldem, dyr. WiMBP, opracowaliśmy nowy regulamin Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Z. Morawskiego oraz projekt DOROCZNEJ NAGRODY LITERACKIEJ MIASTA GORZOWA WIELKOPOLSKIEGO.

Ireneusz Krzysztof Szmidt

prezes Zarządu IV kadencji gorzowskiego Oddziału ZLP
Agnieszka Kopaczynska-Moskaluk – wiceprezes Zarządu
Krzysztof Ansilewski (ps. Jerzy Alski) – sekretarz Zarządu

Krystyna Caban – skarbnik Zarządu
Roman Haldas – członek Zarządu



ÓSMY MARCA (fragment powieści)

– Twoja babcia zdurniała – dziadek szepnął mi w kuchni nowinę. Kroiliśmy akurat warzywa na ulubioną sałatkę babci. Zawsze na Dzień Kobiet dziadek robił uroczystą kolację dla swojej ukochanej żony. Dzisiaj wyjątkowo nie miałam wykładów, więc mogłam mu pomóc. I tak połowa z tej michy pójdzie do mnie. Wiktoria poszła z babcią na spacer.

– Czemu zdurniała? – spojrzałam zdziwiona. Zawsze to babcia twierdziła, że dziadek durnieje na stare lata.

– Ty wiesz, że ona trzy razy dziennie chodzi na spacer na Kasprowicza?! I jeszcze mnie tam ciąga.

– Dziadku, ona tęskni za panią Basią, nie może pogodzić się z jej śmiercią.

– Ze śmiercią Adama też nie mogła się pogodzić, a nie latała codziennie pod jego dom. – Dziadek szybko siekał cebulę. Nie wiedziałam, czy te łzy w jego oczach to od cebuli, czy może z żalu za przyjaciółmi.

– Dziadku, Adam był twoim przyjacielem – przypominałam.

– Ja też nie latałam – skwitowałam.

– Bo jesteś mężczyzną – próbowałam tłumaczyć babcią. – Wy inaczej leczycie swoje rany, my inaczej. (...)

– Jak tam twój chłopak? – Dziadek kroił śledzie, pieprzył, przekładał czosnkiem i cebulą, zalewał olejem i na koniec lekko kropił octem. Pycha, najlepsze śledzie, jakie jadłam.

– Dziadku, ja nie mam chłopaka – zaczerwieniłam się lekko. Chciałam mieć faceta u swojego boku, ale kto by mnie tam chciał. Taką szarą, a właściwie rudą mysz z dzieckiem.

– A Rafałek? – dziadek mrugnął do mnie filuternie.

– To mój kumpel – zachnęłam się.

– Powiedzmy. Powiedzmy, że to kumpel, tylko jakieś maślane oczy ma, jak na ciebie patrzy.

– On ma zawsze takie – roześmiałam się. Rafał i maślane oczy, coś się dziadkowi pomyliło.

Rafał. Pachnie dobrą wodą po goleniu, papierosami i miętowymi cukierkami, gra na saksofonie, robi najlepszego kurczaka w potrawce i pizzę, jest ciepły i uczynny, kłóci się czasami ze mną, uwielbia Wiktoria, śmieje się całym ciałem, nie lubi cebuli i chamsstwa. Wdrukowałam sobie w głowę obraz z naszego pierwszego spotkania i tego się uczyłam. Poznaliśmy się na parapetówie u Kaśki. Kupiła sobie przy pomocy rodziców mieszkanie na Londyńskiej. Zabójczy kredyt i oszczędności rodziny starczyły jej na kawalerkę. Zaprosiła kupę ludzi, a wśród nich i Rafała. Nie rzucał się specjalnie w oczy, to znaczy może i się rzucał, bo górował nad wszystkimi wzrostem, mnie się rzucał dopiero, jak trzymał moją głowę nad sedesem, kiedy wyrzygiwałam ostatniego drinka. Tylko przyjaciele trzymają ci głowę w takich niesprzyjających sytuacjach. I tak sobie wbiłam, że Rafał jest przyjacielem i to mi zostało do dzisiaj. Nawet to, że czasami śpiamy ze sobą, nie zmieniło naszych relacji na chłopak – dziewczyna. Dziadkowi przecież o tym nie powiem.

W kuchni było ciepło i przytulnie. Mieszanka zapachów śledziowo-sałatkowych, do tego z piekarnika pachniało pieczoną właśnie karkówką. Jakoś się tak rozmarzyłam, patrząc na dziadka, kręcącego się po kuchni. Też bym tak chciała, żeby jakiś facet kręcił się po mojej, robił dla mnie kolację, martwił się o mnie, czy mi nie za zimno, czy nie jestem głodna, zmęczona, przeziębiona. Nie wiem dlaczego, ale co sobie go wyobraziłam, to widziałam Rafała w tej roli. Pewnie dlatego, że tylko on w mojej kuchni zachowywał się swobodnie, jak dziadek w tej chwili. No, ale to przyjaciel. Tylko i wyłącznie kumpel – przyjaciel.

– A jak spędzisz Dzień Kobiet? – dziadek uśmiechnął się filuternie. – Ja wiem, że dla was takie święto to przeżytek, wy to teraz jakieś Walentynki obchodzicie, ale tradycję dobrze by było podtrzymać.

Rafał mnie zaprosił.

– Gdzie?

– Nie wiem, to niespodzianka.

– Zawsze ceniłem tego chłopaka – dziadek popatrzył na mnie.

– Trzymaj go, to skarb.

– Trzymam, trzymam – tym razem ja się roześmiałam. – Taki przyjaciel to naprawdę skarb.

Dziadek przyglądał mi się uważnie, pokręcił głową z dezaprobatą. Wiem, o co mu chodzi. Najlepiej, jakbym wyszła za mąż za Rafała i żyła z nim długo i szczęśliwie, tak jak oni z babcią. Niestety, przyjaciel to przyjaciel. Czasami, ale tylko tak czasami, myślę, że fajnie byłoby nam razem jak chłopakowi z dziewczyną, ale to pewnie tylko takie moje głupie myśli. Nie powiem Rafałowi, żeby został moim facetem. O, co to, to nie. Chociaż, gdyby tak on mi to powiedział, to kto wie. Spojrzałam na nóż. Zwisiał w mojej ręce nad kawałkiem ogórka. Szybko zaczęłam kroić resztę, opuszczając głowę. Staralam się ukryć moje zmieszanie. Dziadek na pewno przyglądał mi się nadal, ale już nie miałam odwagi podnieść głowy. Na szczęście babcia z Wiki wróciły. Jak zwykle zrobiły zamieszanie.

– Gdzie byliście? – dziadek spojrzał na Wiktoria przenikliwym wzrokiem.

– A tak sobie chodziłyśmy po osiedlu – dyplomatycznie odparło moje dziecko.

– Gdzieś tak konkretnie byliście? – dziadek nie odpuszczał, chciał potwierdzenia swoich podejrzeń.

– Konkretnie to w sklepie – odparła Wiktoria, przynosząc z przedpokoju siatkę z drobnymi zakupami.

Oboje z dziadkiem domyśliliśmy się, gdzie były, nie zmyliły nas nawet zakupy, ale dziadek wzruszył ramionami i nie dopytywał więcej. Ja tym bardziej. Niech sobie babcia chodzi, gdzie chce. No, byle nie na randki z innym dziadkiem, bo ja kocham tego swojego, osobistego.

– Jakiś obiad jest? – babcia pociągnęła nosem. Karkówka pachniała cudnie. W sumie to ja też bym coś zjadła. Podjadałam wprawdzie warzywa z sałatki, ale konkretny obiad by się przydał.

Dziadek wyciągnął brytfankę z karkówką, ja przygotowałam talerze, Wiktoria nakryła stół. Fajnie tu było u dziadków. Ciepło, przytulnie, domowo. Rozmarzyłam się. Stworzyć taki dom rodzinny, gdzie każdy z chęcią by przychodził ogrzać się w tej atmosferze. Coś mi podeszło do gardła. Nie wiem, co się ostatnio ze mną dzieje. Jakaś taka się zrobiłam uczuciowa. Postawiłam się do pionu. Co ma być, to będzie. Kiedyś wreszcie spotkam kogoś na swojej drodze, tylko czemu ten Rafał zawsze staje mi przed oczami? Pewnie dlatego, że nikogo innego nie mam.

Dziadek zapakował nam przydział jedzenia. Wiktoria zrobiła im jeszcze parę fotek i pomaszerowałyśmy do domu.

*

Rafał mieszkał w jednym z tych uroczych domków, które każdego dnia widziałam z moich okien. Ja mieszkam na skarpie, w dole jest główna droga, czyli Fredry, i dalej odchodzi uliczka Długosza. Pnie się pod górę. Małe domki wyglądają jak z bajki właściwie o każdej porze roku. Najpiękniej to jednak chyba jesienią, kiedy park górujący nad ulicą zmienia barwy. Orgia kolorów to coś niesamowitego, raj dla duszy, raj dla oczu spragnionych piękna, raj dla fotografów, malarzy, poetów, pisarzy. W zimie, kiedy jest śnieg, mróz i słońce, wszystko skrzy się srebrem. Czasami z zachwytu aż mi oddechu brakuje. Latem, wiadomo. Bajecznie, kolorowo. Teraz jest wiosna, jeszcze szarość zalega na ogródkach, bezlistne drzewa, ale choinki zielenią dodają uroku temu miejscu. Choinki i nadzieja, że zaraz wszystko się zazieleni, zażółci, zaczerwieni, zaróżowi.

Wyciągnęłam czerwoną sukienkę. Jagoda mnie zmusiła do kupienia. Wydałam majątek, ale warto było. Srebrne buty i dodatki. Jak święto, to święto. Wprawdzie tradycja tego dnia zanika, jeszcze tylko roczniki moich dziadków i rodziców świętują, a i to nie

wszyscy. Z opowiadań i wspomnień wiem, jaki to był ważny dzień. Kobiety dostawały w pracy goździki i rajstopy, czasami jeszcze czekoladę. Panowie upijali się i zamiast kwiatów donosili do domu tylko same badyły. Ale wesoło było. Coś w tym szarym życiu było fajnego. Wprawdzie jeden dzień, ale dobre cokolwiek. Nie chciało mi się wierzyć, że kobiety cieszyły się z rajstop i czekolady. My znamy pełne sklepy, a podobno kiedyś tylko ocet i musztarda stały na półkach, w mięsnym to puste haki; kilometrowe kolejki pod sklepami znam ze zdjęć. Nawet wódka była na kartki, buty i cukier. Nie wyobrażam sobie takiego życia, ale jak babcia opowiada, to jakoś tak wesoło, z humorem. Dziadek bimber pędził, nawet przepis mi podał. Mam nadzieję, że już nigdy do tego nie dojdzie. Chociaż, cholera wie. Tyle złego teraz się dzieje na świecie.

Zrobiłam się na bóstwo. Wiktorina była zachwycona, mój brat, który po nią przyjechał, też. Wikusia jedzie do dziadków spać. Czyli chata wolna, może będzie bal. Jestem ciekawa, co na dzisiaj wymyślił Rafał. Właśnie zadzwonił domofon. Pewnie on, jak zawsze punktualny.

– Szwagier idzie – zameldował Kuba, głupio się uśmiechając. Miał szczęście, że akurat walczyłam z kolczykami, bo by z kaptcia dostał.

Od Kuby i taty dostałam śliczne wiązanki, tym razem mój brat nawet się wysilił. On, który ogólnie nie uznaje takich świąt. Wikusia też dostała kwiaty i pieniądze od Kuby. Od dziadka dostanie na Puszkina. Ja pewnie kasę dostanę osobiście od taty.

Rafał stanął w drzwiach i zaniemówił. Nic się nie odzywał, dopiero jak go Kuba szturchnął, to wydukał „dzień dobry”. Podał Wikusi paczuszkę i wiązankę prześlicznych tulipanów. Drugą wręczył mi z życzeniami.

– Reszta prezentów później – szepnął mi do ucha, całując w policzek.

– To my już jedziemy – Kuba założył kurtkę, puścił do mnie oko i zniknął za drzwiami, a za nim pofrunęła Wiktorina w obłokach perfum, prezentu od Rafała.

– To co, my też ruszamy?

– A gdzie idziemy? – Ta moja ciekawość! Przecież zaraz się do-
wiem.

– Blisko – roześmiał się mój przyjaciel – bliżej niż myślisz.

Cholera, chyba mnie do „Okeya” na pizzę nie zabiera. Przemknęło mi przez myśl, tam to mogę iść w jeansach, a nie w wystrzałowej kiecce.

Lekka szarówka otulała osiedle. Jak na marzec, to nawet ciepło było. Audi Rafała błyszczało czystością na tle innych stojących aut. No, no, wysilił się. To właśnie w nim lubiłam. Jak święto, to wszystko świątecznie czyste, umyte, żadnych niedoróbek. Szkoda, że ja taka nie jestem.

Patrzyłam, gdzie jedziemy: Kochanowskiego, Fredry, Długosza. Podjechalśmy pod dom Rafała. Też mi niespodzianka, mógł powiedzieć, to bym sama przyleciała do niego, ale nie, on musiał z gestem. Trudno. W ekstra kiecce spędzę czas w jego pokoju, zającąc czekoladki, oglądając jakiś głupi film, półleżąc na jego tapczanie. Nie wiem, czy widział rozczarowanie na mojej twarzy, ale jakoś tak tajemniczo się uśmiechał.

Weszliśmy do pustego domu, mama Rafała pojechała do swojej siostry na parę dni. Tyle mi przekazał podczas tej króciutkiej drogi. Zamiast na górę do swojego pokoju, skierował się do piwnicy. Chyba oszalał. W niebotycznych szpilkach mam się włóczyć po ciemnych zakamarkach? Miałam się zbuntować, ale wzięłam na wstrzymanie. Najpierw zobaczę, co to za niespodzianka. Na dole nawet nie śmierdziało piwnicą, stęchlizną czy czymś w tym stylu. Na razie wyczuwałam orientalne kadzidełko. Mój partner schodził bokiem pierwszy, podtrzymując moją rękę. Słaba żarówka oświetlała korytarz. Rafał otworzył drugie drzwi i przepuścił mnie do pomieszczenia. Tutaj nic nie przypominało piwnicy. No, może małe okienko prawie pod sufitem. Piwnica była większa od mojego pokoju. Część zajmo-

wał drewniany podest jak w klubach muzycznych, ze sprzętem do miksowania, mikrofonami, z boku kominek i bar, część z dwiema sofami, trzema różnymi fotelami i wielką ławą zaścilał kolorowy dywan. Ściany obite były plakatami muzycznymi, jakimiś zdjęciami. Tyle zarejestrowałam dzięki pozapalonym świecom. Stały na ławie, na półkach, dywanie, na barze, kominku, oczywiście w pojemnikach. Piękne płonące świece. Ich blask rozświetlał pomieszczenie. Dym z kadzidełek i świec rozprzodkował aromat po całej piwnicy. Rozpalony, cudowny kominek zapraszał swoją przytulnością. Stałam oniemiała. Nigdy tutaj nie byłam. Nawet przez myśl mi nie przyszło, że właśnie tutaj może być takie miejsce. Metafizyczna przestrzeń. Rafał pociągnął mnie w stronę największego i, na moje oko, najwygodniejszego fotela, zakrytego kolorowym pledem.

Milczałam, Rafał też. Otworzył szampana, nalał pienistego płynu. Podał mi kieliszek.

– Za najpiękniejszą kobietę – wznosił toast.

Chyba nie o mnie myślał, ale milczałam. O mnie, czy nie, to i tak jestem łasa na komplementy jak każda kobieta. A tak naprawdę, to dzisiaj czułam się najpiękniejsza, sama nie wiem czemu, ale lustro chyba nie kłamało.

Rafał wszedł na podest, wziął saksofon i zaczął grać. Jezusie, jak on grał! Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Stał lekko pochylony. Światła świec migotały w mroku. Cienie i półcienie otulały Rafała. Był taki seksowny. Patrzyłam na niego z zachwytem. Jego oczy były nieobecne, nie widział mnie, nie widział nic. Był tylko on i saksofon. Coś się działo ze mną tam w środku. Oczy mi się szklily, czułam łzy pod powiekami, żołądek ścisnął się w supeł, a serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Chłonełam muzykę każdą komórką swojego ciała, całym jestestwem. A on grał, nie przerywając. Grał tak intymnie. Grał dla mnie, jakby chciał mi coś przekazać, jakby chciał podarować mi cały wszechświat. Nie potrafił ubrać w słowa tego, co czułam w tym momencie. Anioł głąskał mnie czule po głowie i szeptał: „Przyjmij to, co ci oferuje, to wszystko, co ma, to ocean niewypowiedzianej miłości”. W tym momencie zrozumiałam. Przecież ja go kocham. To on jest tym mężczyzną wyśnionym, wymarzoną. To właśnie z nim chcę się zestarzeć.

Rafał skończył grać. Zaległa cisza, ale nie w moich komórkach, w moim ciele. Moje ciało drgało muzyką, łzy wolno skapywały po policzkach. Rafał podszedł do mnie, wziął mnie w ramiona i rozpoczęliśmy taniec miłości.

Świece powoli dopalały się. Jedna chybotąła nierównym płomieniem, wreszcie zasyczała i zgasła. Patrzyłam jak urzeczona, nie mogąc oderwać wzroku od dogasających płomieni. Wreszcie chłód zaległ w pomieszczeniu. Moje rozpalone ciało stygło. Narzuciliśmy ubrania, dogasiliśmy świece. Usiedliśmy w kuchni. Magia wieczoru nadal trwała, pomimo tak prozaicznej czynności jak kolacja.

– Czemu mnie nigdy wcześniej nie zaprosiłeś do piwnicy? – zapytałam z nutką żalu.

– Bo dopiero zrobiłem to miejsce – Rafał pogłaskał mnie po twarzy. – Jesteś pierwsza i jedyna – dodał.

Ruszyliśmy do jego pokoju kontynuować miłosne oczarowanie. Pełnia księżyc, czary się dzieją. Przypominałam sobie, że dzisiaj miałam zrobić mapę marzeń. Ta mapa ma ważność przez cały rok, a podobno wszystkie marzenia z mapy się spełniają. Zresztą, co mi tam, ja teraz robię swoją mapę marzeń z Rafałem. To spełnione marzenie wystarczy mi za wszystkie inne. Uśmiechnęłam się do niego. Moje oczy błyszczały miłością, jego też. Trwaj, nocy zakłeta.

Rafał zachowywał się jak zawsze. Jakby nie było tamtej nocy, jego grania, księżyc, zapachu świec i moich łez. Czasami myślałam, że to był tylko sen. Intensywnie myślałam. Może czymś go obraziłam, może zrobiłam coś nie tak. Mało słów wypowiedzieliśmy tamtej nocy. A może zrozumiał, że go kocham. Może się przestraszył tej mojej miłości. Przyjaciel do przyjaciela. (...)



TRZY PIERWSZE BARDZO TRUDNE LATA

Jest już w księgarniach i w internecie druga część trylogii „Wendyjska winnica” autorstwa Zofii Mąkosi. Jej tytuł – „Winne miasto”. Oczywiście można tę powieść czytać, nie znając pierwszej części, bo choć powiązań między nimi jest dość dużo, akcja obejmuje lata następne, a miejsce matki jako głównej bohaterki zajęła córka, czyli Matylda Neumann, zdrobniale Tila.

Część pierwsza kończy się sceną, w której w ostatnich dniach stycznia 1945 roku samotna Tila ucieka z Chwalimia, rodzinnej wsi, do której lada moment wejdą Rosjanie. W bardzo mroźną noc ostatkiem sił zdąża do Sulechowa. Czy przeżyje? – pytałam w omówieniu tamtej książki.

Teraz wiem, że przeżyła. Ale nie wróciła na wieś, a zamieszkała w Zielonej Górze. Akcja powieści obejmuje okres od końca zimy 1945 do początku 1948 roku. Trzy bardzo trudne lata.

Tila pochodzi z rodziny niemieckiej, ale ze słowiańskimi korzeniami. Podstawy języka polskiego (słowiańskiego) wyniosła z domu, w czasie wojny lepiej się go nauczyła. Jedyną bliską jej osobą jest ciotka z polskiej rodziny mieszkająca w Chwalimiu, w Niemczech nie ma nikogo bliskiego. Trochę więc przez przywiązanie do znanych sobie miejsc, trochę przez przypadek, a najbardziej przez brak perspektyw Tila pozostaje w Zielonej Górze.

Zofia Mąkosa bardzo dba o prawdopodobieństwo losów i postaw bohaterów. Przyjaciółką Tili jest jej rówieśnica z Nowego Kramka, której rodzina z Niemcami walczyła o polskość, jej opiekunką – stara Niemka, która decyzję pozostania w swoim mieszkaniu opłaciła brakiem środków do życia. Jeden z adoratorów Tili doznał krzywd od Ukraińców podczas mordów na Wołyniu, a potem był żołnierzem AK i długo po wojnie nie złożył broni, drugi jest funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa. W kręgu najbliższych znajomych znalazła się elegancka warszawianka, która stała się aktywną rzeczniczką polityki partii, a także stateczna kobieta w pełni oddana Kościołowi. Jest specjalista w zakresie upraw winorośli i produkcji wina oraz przedstawiciel władzy, który racje polityczne stawia wyżej niż ekonomiczne, a nawet zdrowotne.

Każda z tych postaci do powieści wnosi nie tylko swoją przeszłość, ale także swoje widzenie przyszłości.

Tila pracuje na winnicy, bo wiedzę o uprawie winorośli wyniosła z rodzinnego domu. Potem w wytwórni wina. Z ogromną starannością Zofia Mąkosa opowiada o odżywianiu zielonogórskiego winiarstwa, ale bez przekonania, że ta dziedzina gospodarki ma przed sobą przyszłość. Wszystkim natomiast od początku podobają się święta winobrania, bez zastrzeżeń przeniesione z niemieckiej tradycji.

Akcja powieści rozgrywa się w mieście precyzyjnie opisanym pod względem topograficznym, z podaniem nazw ulic, lokalizacji kościołów, restauracji, stacji kolejowej itp. Czytelnik widzi miasto niezniszczone w czasie wojny, zatopione w zieleni, ale jednocześnie teraz pełne błota, ze zrabowanymi na opał sztachetami parkanów, pogrążone w dymie, rzadko w słońcu.

W literaturze podejmującej temat zasiedlania ziem zachodnich dotąd najważniejsze było zderzenie ludzi pochodzących z różnych regionów. Bohaterowie „Winnego miasta” także przyjechali z różnych stron, ale tu ważniejszy niż pochodzenie jest stosunek do przemian politycznych. Dopiero teraz, siedemdziesiąt lat po tamtych czasach, pisarz może śmiało pokazać, jak polityka decydowała o codziennym życiu, jak ingerencje władz zatruwały radość z zakończenia wojny, jak zamykano usta, jak wprowadzono terror. A był to dopiero początek, wszak powieść obejmuje tylko pierwsze trzy lata. Rozluźnienie więzów nastąpiło dopiero po 1956 roku, czyli po kolejnych dziewięciu latach.

Wiadomo, że po wojnie było trudno. Ale że aż tak trudno, pewnie już nie zdajemy sobie sprawy. Praca w złych warunkach, fizycznie wyniszczająca, niskie pensje, żywność na kartki, które i tak trudno było zrealizować, licha odzież, brak opału, a zimy bardzo mroźne, na wsi odbieranie w ramach kontyngentów wszystkiego, co rolnik wyhodował. Z powieści wyraźnie widać, że zamiast być coraz lepiej, było coraz gorzej.

Na ostatnich stronach powieści Tila decyduje się na posunięcie, które w zasadzie przekreśla jej dalszą obecność, a tymczasem dowiadujemy się, że Zofia Mąkosa pisze trzecią część z góry zamierzonej trylogii. Kogo uczyni jej główną/ym bohaterką/em?

Powieść dobrze się czyta, choć pokazany tam świat jest okropny i trudno w nim się żyje. Autorka wprowadza kilka wątków i rozwija je w sposób logiczny, a czytelnik z zainteresowaniem śledzi losy postaci. Odwołuje się nie tylko do rozumu, ale i do serc. Lubimy, a na pewno rozumiemy bohaterów i im współczujemy. Nie zdziwię się, jeśli w trakcie lektury komuś łza w oku się zakręci.

Zielona Góra jest tu „winnym” miastem nie tylko ze względu na winnice i winiarskie tradycje, jest winna, że ludziom źle się żyje, że deprawowane są charaktery, że gospodarka z trudem chwyta równowagę. Tyle że tymi winami nie można obciążać jednego miasta. To były winy ustroju, państwa, władzy. Mądra, głęboka książka o powojennych latach, nie tylko w Zielonej Górze.

Zofia Mąkosa, „Winne miasto”,
cz. 2. cyklu „Wendyjska winnica”,
wyd. Książnica 2019, 426 s.



Spotkanie z autorką
w WiMBP w Gorzowie
w dn. 3 kwietnia
o godz. 17.00.
Zapraszamy!

NIEZNANA POWIEŚĆ ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO

W ubiegłym roku gorzowska Biblioteka przyjęła przekazane przez Marię Morawską archiwum Zdzisława Morawskiego. Rozpoczyna się odkrywanie jego zawartości.

Zdzisław Morawski zmarł w 1992 roku. Był cenionym poetą, za życia wydał 11 tomów wierszy, a później ukazały się jeszcze cztery, w tym wydanie zbiorowe. Pisał także prozę. Znane były jego dwie powieści, opowiadania ukazywały się na łamach pisma „Nadodrzie”, sześć jego sztuk wystawiły polskie teatry, a radio w Zielonej Górze nadało pięć słuchowisk. O ile do książek można dotrzeć, to przeczytanie opowiadań jest trudne, a przedstawienia teatralne i słuchowiska uleciały już dawno.



Archiwum Zdzisława Morawskiego jest obszerne, składa się z ok. 50 teczek z maszynopisami przede wszystkim utworów prozatorskich, a także 31 dużych skoroszytów, w których ręcznie robił „Zapiski codzienne” od 1972 do 1985 roku. Prace nad tymi materiałami trwają.

Właśnie w tym zbiorze maszynopisów odnalazłam powieść pt. „Każdy miał wakacje”.

W latach 60. minionego wieku państwo Maria i Zdzisław Morawscy chętnie spędzali lato na Długim. Utarła się taka nazwa tego miejsca między Strzelcami Krajeńskimi a Dobiegniewem, choć poprawnie należałoby mówić nad jeziorem Lipie albo we wsi Długie. Zdzisław był zapalonym żeglarzem, a tam warunki do żeglowania są wspaniałe. Był nawet instruktorem na kursie dla młodych sterników jachtowych. Ośrodek wypoczynkowy dopiero wtedy się rodził, jeszcze nie było wielkiej piaszczystej plaży, a opalano się na trawie, ale już były pomosty i żagle, stały domki campingowe podobne do psich budek, istniała restauracja „Chata za wsią”.

Właśnie w tym ośrodku Zdzisław Morawski osadził akcję swojej powieści pod tytułem „Każdy miał wakacje”. Na końcu postawił datę: 1965 rok.

Po blisko 50 latach nie ma już „Chaty za wsią”, miejsca posiłków i dancinów. Nikt już nie ubiera garnitur i krawata, by przywitać oczekiwaną kobietę, nie mówimy do sąsiadów z letniska przez „pan” i „pani”. Nie ma takich jak wtedy rygorystycznych szkoleń dla młodych żeglarzy. Ale na zawsze pozostały urok jeziora Lipie z jego licznymi zatokami i wspaniałą przestrzenią do żeglowania. Pozostało żeglarstwo jako męska przygoda, pozostał urok cudownego wtopienia

się w świat przyrody, jakie dają wiatr, słońce i woda. Na pewno pozostały także – podobne do tych z powieści – letnie zauroczenia, a nawet miłości, choć nie zawsze ze szczęśliwym zakończeniem.

Tę letnią tematykę książki uzupełniają wspomnienia Marii Morawskiej o żeglarskiej przygodzie męża, a także zrobione wtedy zdjęcia żagli, ludzi i przyrody.

Są wiersze Zdzisława Morawskiego inspirowane jeziorem, a nawet wiersz Marka Piechockiego o tamtej jego żeglarskiej przygodzie z dzieciństwa.

Napisana przed półwiekiem powieść z jednej strony jest już historyczna, a z drugiej opowiada o wiecznej tęsknocie człowieka do słońca, wody i miłości.

Powieść Zdzisława Morawskiego ukazała się dzięki finansowemu wsparciu Urzędu Miejskiego w Strzelcach Krajeńskich, wszak Długie znajduje się na terenie tej gminy. Wydanie książki jest też formą spłacenia długu, bo Maria Morawska właśnie pracownikowi tego Urzędu, Markowi Bidolowi, przekazała swoje fotograficzne archiwum związane



z żeglarstwem i z ośrodkiem nad jeziorem Lipie. Dużo na nich żagli, wypoczynku i radości. Widoki jeziora z tamtych lat utrwalił ceniony fotograf Konstanty Ludwikowski, autor pierwszej pocztówki z Długiego z 1966 roku. Wszystkie te dokumenty ikonograficzne weszły także do książki.

Prawo do wydania powieści życzliwie przekazała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, a Związek Literatów Polskich dołożył pracę edytorską.

Wybierzcie się podczas najbliższego lata na Długie. Książka Zdzisława Morawskiego pod tytułem „Każdy miał wakacje” będzie tam na Was czekać.

Zdzisław Morawski, „Każdy miał wakacje”, Gorzów Wielkopolski – Strzelce Krajeńskie 2018, wyd. Urząd Miejski w Strzelcach Krajeńskich, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wlkp., 198 s.



ZIMNE WIERSZE MARII BORCZ

*„My country is my Home.
Ojczyzna / jest moim do-
mem. Mnie w udziale / Dom
polski przypadł. To – ojczy-
zna / A inne kraje są hotele”*
– pisał Julian Tuwim w poemacie „Kwiaty polskie”.

Poeta wprowadził tu przeciwstawienie ojczyzny, miejsca rodzinnego, bliskiego i hotelu jako czegoś obcego.

Maria Borcz także wykorzystuje motyw hotelu jako miejsca obcego człowiekowi. Nie chodzi jej jednak o żaden konkretny hotel, a stworzyła nowe słowo na określenie przestrzeni, w której człowiek nie może normalnie żyć. To „hotelarnia”. W moim odczuciu słowo to zostało zbudowane niepoprawnie i pewnie nie wejdzie do polskiego słownika, ale rozumiem intencje autorki.

*Bo jest taki świat, w którym:
piją by zapomnieć
znudzeni naturą
szlafrokową miłością
konfliktem cywilizacyjnym
bezpłciowością pełną pułapek
zachodami i wschodami słońca
nie chcą już tańczyć
piją aż po zawrót głowy*

Maria Borcz pisze wiersze od dawna. Najpierw nieśmiało, jako teksty piosenek, które wykonywali jej uczniowie, potem fraszki i wierszyki satyryczne. Pierwszy tomik odważyła się pokazać w 2007 roku. Od tej pory wydała ich już jedenaście. Coraz to bardziej smutnych.

Najnowszy tom wypełniają wiersze o pustce, o beznadziei, alienacji, bezradności. Świat pokazany przez Marię Borcz jest naznaczony brakiem wartości. Ludzie nie mają domu, nie mają korzeni ani tożsamości. Żyją pozorami, powierzchownie, bez przeżyć, bez ducha. Pewnie tempo współczesnego życia narzuca taką zewnętrzną, ale chciałabym wierzyć, że nie jest to pełna prawda, że uczucia, wiara, duch są także częścią osobowości każdego z nas.

Maria Borcz nie widzi nawet światła w tunelu, nie widzi wyjścia z tej sytuacji. Ba, ona nawet się nie buntuje, nie czyni wyrzutów, nie poucza, jak to robiła we wcześniejszych wierszach. Teraz zda się już nie mieć nadziei, że ludzkość się zmieni. Jej wiersze są zimną analizą socjologiczną, a autorskie stanowisko ogranicza jedynie do prezentacji swojego obrazu świata.

*lokatorzy z hotelarni świata
sami nie zbudują sobie mostu (...)
łamią bariery forsują granice
łódkami pośladkami jest coraz tłoczniej
coraz głośniejsz coraz bezduszniej
lokatorzy z hotelarni świata
wznoszą kielichy z płynną tożsamością*

Mam nadzieję, że Maria Borcz niebawem wyjdzie ze stanu totalnego pesymizmu. Czekam na następny tom jej wierszy.

Maria Borcz odpowiedziała mi wierszem:

*zimne wiersze zatopię
w projekcji artystycznej
naszpikuję miłosnymi frazesami
doprawię gruboziarnistym
seksem aż zrobią się gorące*

*to nic że za oknem
bez serc bez ducha
efekciarski eros plus
zdominował hotelarnię świata*

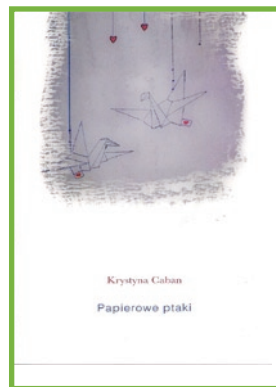
KOCHANA

Autorka tomu wierszy „Papierowe ptaki” po prostu jest kochana. Poeci twierdzą, że najlepsze wiersze powstają z bólu, z tęsknoty, z rozczarowania, a kochanie tylko z pozoru służy poezji. Ten tom dowodzi, że o szczęśliwej miłości także można pisać dobre wiersze. Na przykład ten:

*Każdy zakątek domu żyje
do uwertury na cztery ręce
potrzeba dwojga
w każdej sytuacji jesteś
niezastąpiony jak
powietrze*

*gdy otwieramy drzwi
wieszasz parasol – a ja
nie myślę o głuchej ciszy*

*bo weszła w nasze ściany
muzyka
– moja droga
mój kochany*



To On czyni, że skończyła się głucha cisza w domu, że dom rozbrzmiewa muzyką prostych słów, że w liczbie mnogiej „otwieramy”, no bo przecież jest „niezastąpiony”.

A oto inny wiersz, malutki, króciutki, ale zawierający ogrom szczęścia płynący z miłości tego jedyne:

*nie zapalam światła
gdy jesteś ze mną
trafiam wszędzie bezpiecznie*

I tak przez 34 strony. Zaskoczenie przynosi wiersz zamieszczony na stronie 35, a wzmacnia je wiersz ze strony 36. Pierwszy nosi tytuł „Rozbrykane wnuczki”, a w drugim zacytowane są słowa: *kochana babciu cieszysz się / że twoje Słonko kwiaty ci daje*.

Szczęśliwie kochana autorka wierszy okazuje się babcią. Nie ukrywa tego, wręcz wzmacnia swoją pozycję, stwierdzając: *tak bardzo kocham / to życie z mojego życia*.

Autorką tomiku „Papierowe ptaki” jest Krystyna Cahan. W książce nie ma ani słowa o autorce. Zakładałam, że celowo. Czytałam wiele wcześniejszych wierszy tej autorki. Wierszy zrodzonych najczęściej z bólu, z rozczarowań, z tęsknot, ze zmagania się z życiem. A tu wybuch miłosnej erupcji. Cudowne zaskoczenie.

Jednak nie są to wiersze miłosne nastolatki, nie ma tu motyli w brzuchu. W wielu wierszach przewija się wspomnienie dawnych niepowodzeń, poprzednia samotność, pusty dom, zmarnowany czas. Ale to przeszłość. Teraz autorka żyje w szczęściu. Tomik ten zadedykowała „mężczyź-

nie, który pozwolił uwierzyć, że można być kochaną, otworzył przede mną świat”.

Wiersze Krystyny Caban upewniają czytelników, że na miłość nigdy nie jest za późno. I choć słowa te brzmią jak banał, nie wolno ich lekceważyć, bo niosą mocną dawkę optymizmu.

Krystyna Caban, „Papierowe ptaki”, redakcja i projekt okładki Beata Patrycja Klary, wyd. Pisarze.pl, Warszawa 2019, 48 s.

POWIEŚĆ O RADOŚCI ŻYCIA I O JEGO KRESIE

Im człowiek starszy, tym częściej swoje plany opatruje zastrzeżeniem: **Jeśli dożyję...**

Słowa te **Łucja Marczyk-Rajchel** uczyniła tytułem najnowszej książki. Opowiada w niej o Annie i Kubie, małżonkach już po osiemdziesiątce, utyskujących na rozliczne schorzenia.

Zaczyna się od przejmującego wezwania: Kuba! Kuba! Kuba! Nie umieraj! Tak krzyczała Anna, bo Kuba niemal bez życia upadł na podłogę, a ona nie mogła go podnieść, by położyć do łóżka. W końcu udało się, Kuba powoli łapał kondycję.

I tak będzie przez całą tę krótką powieść: Kuba choruje na coraz to nowe schorzenia, Annę też dopada złamanie nogi i parę innych dolegliwości. Ale mimo obecnych na kartach książki wiecznych chorób, to nie jest powieść o umieraniu. Odwrotnie. To powieść o radości życia i o jego kresie jako naturalnym etapie.

Anna i Kuba chętnie wyjeżdżają nad morze, a nawet do kuzynki w Niemczech na jej jubileusz, lubią życie towarzyskie, przyjmują gości, sami uczestniczą w rodzinnych i przyjacielskich spotkaniach. Cieszą się smacznym jedzeniem, gotowaniem z pomysłami, kwiatami rosnącymi w ogrodzie i zwykłymi radościami, na które nie zwracali uwagi, dopóki mieli poczucie pełnego zdrowia. Mimo wielu poważnych kłopotów, teraz mają siłę do ich przewyżniania dzięki wzajemnej miłości, pomocy życzliwej kuzynki, dzieci i wnuków. A na to pracowali przez całe życie.

Najtrudniejsze jest przekroczenie granicy życia i śmierci. Na kartach powieści nie ma ostatnich dni. Czytelnicy rozstają się z Kubą, gdy on przyjęty zostaje do hospicjum. Anna wie, że już nic nie może dla niego zrobić, oddaje więc ukochanego Kubę w fachowe ręce, które jeszcze mogą mu dać fizyczną ulgę. Jej możliwości pomocy, przede wszystkim duchowej, się wyczerpały. Jak będzie żyć bez Kubę?

Mimo wieku i schorzeń, Anna jest silną osobowością. Jestem przekonana, że jeszcze raz nauczy się samodzielności i o tym etapie życia napisze kolejną książkę.

Wcześniejsze etapy życia Anny można poznać w powieściach: „Co cię nie zabije...” i „...to cię wzmocni”. Łucja Marczyk-Rajchel jest także autorką opowieści o swoim dzieciństwie: „Śladami wspomnień. Z Kazachstanu do Gorzowa”.

Łucja Marczyk-Rajchel, „...jeśli dożyję”, wyd. Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2019

(fragment powieści)

Ostatnio rozmawiałam z Olkiem o tym, że tyle ustaw jest uchwalanych, ale jeszcze nie ma ustawy o eutanazji. To byłaby korzystna ustawa. Państwo miałoby mniej wydatków i zmniejszyłaby się liczba ludzi nieuleczalnie chorych, przykutych do łóżka i odczuwających ból. Olek wtedy natychmiast zareagował:

– Co ty, mama, wygadujesz, chciałabyś nam zrobić taką przykrość?

– Wręcz przeciwnie, synku, chciałabym wam zaoszczędzić trudności związanych z niemożnością udzielenia pomocy cierpiącej bliskiej osobie.

– Mimo wszystko uważam, że pleciesz głupstwa. Oczywiście wiem, że masz teraz trudny okres. Złamanie stopy to duży pech. Choroby Kubę to też nieszczęście. Trzeba jednak nauczyć się z tym żyć. Dobrze byłoby żebyś przyjechała teraz do mnie do Szwajcarii. Twoją nogę tu dolecymy. Odprężysz się. Warunki znasz. Byłaś, widziałas.

– A co z Kubą?

– Oddamy go do dobrego prywatnego zakładu opiekuńczego. A remontem domu zajmie się brat. On zresztą deklarował, że chętnie cię tu przywiezie.

– Coś podobnego – wykrzyknęłam. – To wy robicie jakieś ustalenia bez mojej wiedzy?

– Ależ nie, mamu. Rozmawialiśmy tak hipotetycznie. Rozważ to spokojnie. Nie myśl o żadnej eutanazji. W Holandii eutanazja jest dopuszczalna, ale tam na pewno ciebie nie zawieziemy.

– Oj, synu, wzruszyłeś mnie. Wiem na pewno, że teraz nigdzie nie pojedę. Nie zostawię tego biedulę samemu sobie. Pięknie, że nie mówisz do mnie jak inni: „nie poddawaj się, nie poddawaj”. Spokojnie mi doradzasz, żeby nauczyć się z tymi problemami żyć. Tak zrobię. Nie przeszkadza mi, w rozmowie z Kubą, też popuścić wodze fantazji na temat pożegnania się z życiem na naszej pięknej planecie.

– I co wymyśliłaś? – zaciekał się Aleksander.

– Ustalamy termin odejścia z tego świata. Następnie zorganizujemy luksusowe przyjęcie. Ma to być zakamuflowana stypa. Po przyjęciu zegnamy się z zadowolonymi gośćmi. Bierzymy kąpiel. Ubieramy się w najlepsze ubranie. Ewentualnie piszemy jeszcze ostatnie życzenia i wyjaśnienia. Połykamy cudowne tabletki. Z pięcioma osobami jesteśmy nazajutrz umówieni. Jedna osoba mogłaby mieć zbyt duży stres.

– Mamu! Skazujesz mnie na słuchanie piramidalnych głupstw! Teraz jeszcze bardziej będę się martwić o ciebie. Pozwól zorganizować sobie odpoczynek.

– Nie martw się o mnie, postaram się nauczyć z tym żyć, tak jak już deklarowałam. Teraz nie byłabym w stanie korzystać z wypoczynku. Mogę tylko dla relaksu popfantazjować, tak jak ci przed chwilą zademonstrowałam. Dziękuję za rozmowę. Do usłyszenia!



KILKA REFLEKSJI PO ROZMOWIE Z MARIUSZEM WRÓBŁEM DYREKTOREM CENTRUM EDUKACJI ARTYSTYCZNEJ – FILHARMONIA GORZOWSKA

Rozmowa nasza odbyła się w dwa lata od jego przyjazdu do Gorzowa i objęcia stanowiska dyrektora tej ważnej dla miasta placówki kultury. Gdy zajmował to stanowisko, trochę tu wrzało. Musiał najpierw przerwać konflikt, zakończyć sezon artystyczny 2016/2017 i zaplanować kolejny, już na własny rachunek.

Dyrektor Mariusz Wróbel z wykształcenia jest pedagogiem kultury i dziennikarzem. Jest też wykładowcą. Prowadzi zajęcia dla menadżerów kultury. W zarządzaniu placówkami kultury ma spore doświadczenie. Wcześniej pracował m.in. jako dyrektor Bytomskiego Centrum Kultury, szefował w instytucji kultury Silesia Film w Katowicach. Kierował też projektem w Narodowym Centrum Kultury w Warszawie. Zarządzanie kulturą interesowało go już podczas studiów. I tak minęło mu ponad 20 lat.

Kto to jest dyrektor Filharmonii? – To ktoś, kto odpowiada za wszystko, co się tu dzieje, ale przede wszystkim buduje markę instytucji, aby dobrze służyła ludziom. Dyrektor to ten, kto wytycza kierunki. Nie jest w tym sam. Do pomocy ma kierownika artystycznego i kilkunastu pracowników organizacyjnych.

Jak buduje się repertuar? Przed sezonem „burzę mózgów” przechodzą wszyscy pracownicy. Każdy może wyrazić swoje zdanie. Podpowiedzieć, co mówią ludzie i jakie są ich życzenia.

Dyrektor sam stara się być na każdym koncercie i z rozmów osobiście dowiaduje się, co interesuje ludzi. W ten sposób powstający repertuar jest jakby „na zapotrzebowanie”. Poza tym opracowywane są ankiety badawcze, udostępniono tzw. skrzynki pomysłów, gdzie każdy słuchacz anonimowo może napisać, czego oczekuje. Nad zgłoszonymi pomysłami odbywa się dyskusja, a najciekawsze brane są pod uwagę przy budowaniu repertuaru, mając na uwadze wszystkie grupy społeczne i różnorodne zainteresowania: tych, którzy oczekują tzw. wysokiej kultury, ale i tych, którzy dopiero się uczą chodzić na koncerty i wolą coś lżejszego. Proponowany repertuar musi być zróżnicowany. Są więc propozycje dla dziadków i babć ze swoimi pociechami. Koncerty dla smakoszy i rodzinne dla całych rodzin. Są też różne lekkie koncerty zewnętrzne.

Filharmonia Gorzowska to placówka młoda, tu trochę inaczej rozkładają się akcenty. Ciągłe jeszcze badane są potrzeby. I ciągle pracuje się nad frekwencją. Budujące jest jednak to, że jest ona coraz wyższa, a założone cele możliwe do realizacji.

Realizacja planów: – Po objęciu stanowiska w gorzowskiej filharmonii dyrektor stawiał na klasykę, bo to podstawa, ale planował także wyjście z imprezami w plener. I jedno, i drugie ma się dobrze. Strzałem w przysłowiową dziesiątkę okazały się Pikniki Chopinowskie. Pierwsze imprezy odbywały się tylko przez miesiąc. Natomiast w ubiegłym roku przedłużono je do początków września (też od 15 lipca). W planach kolejne Pikniki.

W filharmonii na stałe zatrudnionych jest 35 muzyków. W razie potrzeby sięga się do muzycznej bazy. Już w maju



odbędą się kolejne przesłuchania na stanowiska muzyków orkiestrowych. Praca dyrektora i podległych mu pracowników to cały czas zabieganie o coraz atrakcyjniejszy repertuar z udziałem nietuzinkowych gwiazd za pulpitem dyrygenckim i znanych w kraju i na świecie wykonawców.

Dobrze się też ma edukacja. Od kilku lat realizowane są musicale z udziałem

zdolnych gorzowskich dzieci i młodzieży. W minionych dwóch latach zrealizowano dwa kolejne spektakle. W sezonie 2017/18 spektakl pt. „Akademia Pana Kleksa” według Jana Brzechwy, a w sezonie 2018/19 „Dogonić Pippi”, znaną też jako „Pippi Pończoszanka” Astrid Lindgren. Był to piąty spektakl tego typu na gorzowskiej scenie.

Imprezy te cieszą się ogromnym powodzeniem. Realizowane są przez specjalistów zajmujących się pracą z dziećmi i młodzieżą. Poprzez udział w spektaklach istnieje możliwość wyłowienia i zaopiekowania się młodymi talentami. Najzdolniejszym proponowany jest udział w różnych warsztatach doskonalących ich umiejętności w wielu dziedzinach, nie tylko muzycznych.

Jest też cykl wspólnych zabaw z muzyką dla przyszłych mam i rodziców z dziećmi do lat 4 pt. „Muzyczne raczkowanie”. Dzieciom w wieku 4-6 lat proponowane są zajęcia animacyjne w tzw. „Filharmonii Juniora”. A w „Akademii Muzyki” uczestniczyć mogą dzieci z przedszkoli i starszych klas szkół podstawowych. Celem tego cyklu jest upowszechnianie wiedzy o muzyce, kompozytorach, instrumentach, epokach i stylach muzycznych. W mijającym sezonie tematem przewodnim jest muzyka polska – od klasyki, przez muzykę ludową i rozrywkową, po melodie z ulubionych polskich bajek. Ponadto młodzieży ze starszych klas szkół podstawowych i gimnazjów proponowany jest udział w otwartych próbach generalnych pod hasłem „In touch”.

A co z realizacją marzeń? – Dyrektor odpowiedział, że jeszcze nie czas, że są one na półmetku...

A oto kilka anonimowych opinii z internetu dodających skrzydeł: „Piękny obiekt, świetna akustyka, miła atmosfera, przebogaty repertuar. Brawo!”. „Wspaniała orkiestra, wspaniała Filharmonia”. „Cudownie brzmiąca orkiestra, tworzona przez znakomitych muzyków. Ogromny komfort pracy, precyzja, sumiennosc... Przemiała obsługa sceny, wzorowy Dział Organizacji Pracy Artystycznej, wspaniały budynek i infrastruktura. Mogą tu powstawać (i powstają) niezapomniane wydarzenia muzyczne”. Myślę, że przy takich opiniach marzenia są realizowane z bardzo dobrym skutkiem.

Po każdej pracy należy się oddech...

Czas wolny pan dyrektor spędza przede wszystkim z rodziną, która mieszka razem z nim w Gorzowie. Lubi jeździć na rowerze i zwiedzać bliższe i dalsze okolice. Odkrył już wiele interesujących zakątków.

Dziękuję za rozmowę, która posłużyła mi do napisania tej prezentacji jednej z najważniejszych instytucji kultury w Gorzowie i na Ziemi Lubuskiej oraz jej dyrektora.

rozm. Ewa Rutkowska

Dodam jeszcze, że ja bardzo lubię tu przychodzić. I cieszę się, że Gorzów ma Filharmonię.

**PEGAZ LUBUSKI 4(75).
KOLEJNA PROMOCJA
w WiMBP 12.12.2018**

Spotkanie z „Pegazem” zawsze jest świętem literatury gorzowskiej. Tym razem było to 75. wydanie numeru i zbliżające się święta Bożego Narodzenia. Spotkanie uroczyste otworzył Prezes gorzowskiego Oddziału ZLP, redaktor naczelny tego czasopisma **Ireneusz K. Szmidt**. Na początek odesłał czytelników do przeanalizowania własnego wstępu, smutnej konstatacji pt. „Czasopisma na śmietniku”. Potem **Jerzy Alski** streścił swój esej, opowiadający o mijającym czasie, pt. „Pod choinkę”. Jak zwykle, nie mogło zabraknąć wierszy rodzimych poetów. Czytali je: **Krystyna Dziewiałowska-Gintowt, Janina Jurgowiak, Zenon Cichy, Roman Habdas i Krystyna Caban**, która także omówiła ostatnie Lubuskie Spotkania Poetyckie „W pół drogi”. Jest też w tym numerze „Pegaza” trochę gorzki tekst **Hanny Kaup** „Gorzowskie echa 100-lecia Niepodległości” pt. „Świadek stał w szeregu”. Jest to informacja o p. **Henryku Szulżyckim**, 92-letnim członku Armii Krajowej, którego niestety podczas obchodów 11 Listopada władze miasta nie zauważyły... Na zakończenie swojej interesującej wypowiedzi o różnych zapomnianych bohaterach dawnych czasów, a wywodzących się z tej ziemi, Hanna Kaup zaprosiła na promocję kolejnego wydania biuletynu „Łączą nas ludzie i miejsca”, w którym dużo informacji o historii, o innych gorzowskich bohaterach i o ich powiązaniach z ważnymi osobami. Zaapelowała o to, aby zgłaszać tych, o których powinniśmy pamiętać, bo to oni tworzą naszą historię.

Barbara Adamiszyn, „skarbnica wspomnień”, tak nazwał ją Prezes ZLP, przeczytała swój tekst „Majówka”. A debiutujący w „Pegazie” **Filip Praski** przybliżył swoje teksty z drugiego numeru najnowszego gorzowskiego czasopisma „LandsbergON”. Numer ten szerzej przedstawiła **Krystyna Kamińska**, która także omawiała najnowsze książki ukazujące się na gorzowskim rynku. Mówiła o powieści **Marka Ratajczaka** „Zanim skoczysz do rzeki”, o dwóch książkach wydanych przez WiMBP – **Jerzego Gąsiorka** „Listy do prawnika” i „**Bronisława Wajs Papuszy**” w opracowaniu **Anny Sokółki i Danuty Zielińskiej**. Omówiła też książkę i wystawę „Dzieje Żydów nad Odrą”. Na zakończenie **ks. Jerzy Hajduga** zaprosił do podzielenia się opłatkiem i przedstawił swój najnowszy, dwudziesty tomik pt. „Zatrzymać z czasu chwilę”. Zaapelował też, aby szanować tradycję, aby rozmawiać ze sobą i aby być obok. „Aby słowo pisane przez poetów stało się ciałem...”.

21.12.2018, TABLICA DLA ANNY

W drugą rocznicę śmierci **Anny Makowskiej-Cieleń** na ścianie Biblioteki Pedagogicznej przy ul. Łokietka w Gorzowie odsłonięto poświęconą Jej tablicę.

„Wychowawczyni młodzieży, regionalistka z pasją twórczego działania, kochająca swoją „małą ojczyznę”. Tak na odsłonięciu tej tablicy powiedział prezydent Miasta **Jacek Wójcicki**.



Anna Makowska-Cieleń z Gorzowem związała się w roku 1957. Po ukończeniu filologii polskiej podjęła pracę w II LO. Pracowała też w Urzędzie Miasta. Była współtwórczynią gorzowskich struktur Związku Sybiraków i przez 12 lat mu szefowała. Zasiadała także we władzach Zarządu Głównego tego Związku i Federacji Towarzystw Regionalnych. Była sekretarzem Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Papuszy. W ostatnich latach, przed emeryturą pracowała w Bibliotece Pedagogicznej na stanowisku konsultanta w Pracowni Edukacji Kulturalnej i Regionalnej.

Tablica powstała z inicjatywy obywatelskiej Kapituły Nagrody im. Janusza Słowika, której przewodziła. Autorką tablicy jest znana gorzowska rzeźbiarka **Zofia Bilińska**.

**18.01.2019, WiMBP – FILIA NR 8 (UL. MATEJKI)
HŁASKO – BUNTOWNIK BEZ POWODU**

Z cyklu „Czytania rocznicowe” spotkanie literackie z okazji 85. rocznicy urodzin pisarza. Prowadziła **Agnieszka Kopaćczyńska-Moskaluk**.

**STYPENDIA NAUKOWE I ARTYSTYCZNE
PREZYDENTA MIASTA GORZOWA**

Otrzymało je 96 uzdolnionych uczniów gorzowskich szkół, którzy reprezentowali nasze miasto w olimpiadach, konkursach przedmiotowych i artystycznych.

Przyznano także stypendia gorzowianom uprawiającym różne formy twórczości artystycznej. Najwięcej przyznano w kategorii muzyki – pięć, w kategorii tańca – trzy, w kategorii literatury – jedno, które otrzymała **Janina Jurgowiak**, w kategorii teatru – także jedno – dla **Bartosza Badury**, aktora Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie, w kategorii sztuki wizualne – trzy, w kategorii animacja kulturalna – jedno.

**22.01.2019, KLUB NA ZAPIECKU
KONTURY KRAJOBRAZU – WSPOMNIENIE
WIESŁAWA STREBEJKI**

Spotkanie z **Januszem Dreczką**. Prezentacja plakatów wybitnego gorzowskiego malarza, scenografa i fotografa – **Wiesława Strebejki**.

**23.01.2019, WiMBP im. Z. Herberta
PROMOCJA KSIĄŻKI pt. „LISTY DO PRAPRAWNIKA”
JERZEGO GĄSIORKA (GĄSIORA)
(wydarzenie rejestrowane w celu promocji Biblioteki)**

Na sali tłum. Moderatorami spotkania byli **Krystyna Kamińska i dyrektor WiMBP Sławomir Szenwald**. Głównym sprawcą ukazania się tej książki, wydanej przez WiMBP, był **Edward Jaworski**, poprzedni jej dyrektor.

To on zdecydował, że książka ukaże się nakładem WiMBP. Spotkanie podzielono na trzy części: rozmowę z autorem o książce, film o autorze nakręcony przez młodych twórców, związanych ze Stowarzyszeniem Kamienica, pod kier. **Moniki Kowalskiej i Zbigniewa Sejwy**, i przekazanie asambliży autorstwa **Jerzego Gąsiorka** „Ocalone z pożogi” na rzecz WiMBP.

Na pytanie, dlaczego pisze prozę, przeczytał swoje dwa utwory. Jeden z 2010 roku. Wtedy w tomiku umieścił wiersz zatytułowa-





Są też wzruszające wątki relacji polsko-niemieckich.

Jerzy Gąsiorek w styczniu tego roku ukończył 77 lat. Dwadzieścia lat pracował w gorzowskim BWA. (*Więcej faktów biograficznych Gąsiora na s. 4 „Pegaza” w uzasadnieniu Lubuskich Wawrzynów*).

W drugiej części spotkania zobaczyliśmy film o autorze i o jego wieży i Santoku pt. „Santok to miejsce szczęścia”. Były też zwierzenia o pasjach, zwłaszcza o podróżowaniu na rowerze i motocyklu. Zaczęło się ono w 2007 roku i Gąsior zwiedził w ten sposób trochę świata. W planie następna wycieczka na motorze. Zaznaczył też, że „radość życia poczuł wtedy, gdy przeszedł na emeryturę”. Spotkanie zakończył tak: „Największą moją pasją jest cieszyć się życiem”.

ny „List do praprawnuka”. I dodał, że książka to „kawał życiorysu, napisanego bardzo szczerze”. Jest w niej dużo o dawnym Gorzowie, o Polsce dawnej i współczesnej, o Polakach, o rodzinie.

Realizatorów edycji „Listów do praprawnuka” obdarował minirzeźbami gąsiorów w drewnie.



Na zdjęciu: „Pod Filarami” – Gąsior odchodzi z BWA na emeryturę. W nagrodę otrzymuje od prezidenta Jędrzejczaka laptopa. Będzie miał na czym pisać swoje wiersze

29.01.2019, KLUB KULTURY MCK „JEDYNKA” „LITERAT i JEGO... ALTER EGO”

W cyklu spotkań moderowanych przez Beatę P. Klary tym razem spotkał się poeta Wojciech Banach z Bydgoszczy z poetką Krystyną Mazur ze Szczecinka. Różne poetyki, a jednak podobne widzenie świata poezji.

Krystyna Mazur
DROGA MLECZNA

*tego lata grymasi.
wczoraj przygarnęła koty, browary
i panienki nadmuchane w balony. dzisiaj
spochmurniała i płacze rozdzielana błyskawicznie.
ludzie po bramach oczekują zmiłowania.*

*tylko ptaki wysoko latają.
przysiadają na dachach,
strząsają niebo ze skrzydeł
i lecą do gniazda.
wiedzą,
że gdy za dużo raju w domu,
nic nie trzyma się kupy.*

Wojciech Banach
KRÓTKA BAJKA DLA CHŁOPCÓW,
KTÓRZY CHCĄ LATAĆ

*Jeszcze
widzę dymiącą
pokrywą studzienki kanalizacyjnej
a obok
wbiją z siódmego piętra w beton
krew
Tadeusza
Czy mam dalej opowiadać?*

Był to jeden z najbardziej interesujących wieczorów literackich ostatniego sezonu.



12.02.2019, NA ZAPIECKU w HOTELU GRACJA

Na wyjściowym zapieckowym spotkaniu w gościnnej GRACJI w nabitej po brzegi publicznością salce konferencyjnej (z licznymi dostawkami krzeseł) prezentowało się dwóch gości z Poznania, historyk Tadeusz Grabski z tematem „Stanisław Wyspiański w 150. rocznicę śmierci” oraz Andrzej Haegenbarth ze swoimi foto-grafkami, które mają związek z pięknymi wnętrzami GRACJI i pięćsetleciem śmierci Leonarda da Vinci. Tadeusz Grabski jest historykiem, absolwentem Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracuje od wielu lat w Muzeum Narodowym w Poznaniu na stanowisku kustosa muzealnego zasobu archiwalnego.

Drugim gościem spotkania był Andrzej Haegenbarth, który zaprezentował kilka swoich artystycznych foto-grafik związanych z pięknymi wnętrzami restauracji GRACJA. Odpowiedział na liczne pytania Zapieckowiczów, podkreślając swoje podejście do sztuki oraz przybliżając konteksty powstania poszczególnych prac. Spotkaniu z nim towarzyszyła wystawa przepięknych fotogramów, z których największe zainteresowanie wzbudziła „gorzowska Mona Lisa”.





13.02.2019, WiMBP PROMOCJA KSIĄŻKI WANDY MILEWSKIEJ pt. „ARTYSTA ZNA- CZY WIELE”

Książka uwieczniła jedenaście osób, znanych gorzowskich artystów z różnych dziedzin sztuki. **Andrzej Bator** to światowej sławy baryton. Artysta pochodzący z Bledzewa, karierę śpiewaczą rozpoczął w Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze”, w czasie gdy rządziła nim Mira Zimińska-Sygietyńska. Śpiewał na wszystkich kontynentach. Na promocji dał prawie godzinny recital. Drugą osobą, o której pisze autorka, jest znana gorzowska rzeźbiarka **Zofia Bilińska**. Kolejni to: **Adam Bałdych**, skrzypek jazzowy o światowej renomie, **Eligiusz Sowa**, nauczyciel śpiewu i muzyki w gorzowskiej Szkole Muzycznej przy ul. Chrobrego, **Alina Horanin**, aktorka m.in. Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie. Nie ma jej już wśród nas. Kiedyś powiedziała: „Dotknęłam nieba na scenie”. Znana artystka, ceramiczka i malarka **Anna Szymanek** tak podsumowała swoją pracę: „Na dźwiękach moich prac stworzyłam koncert...”. Jest tu także wspomnienie nieżyjącej już znanej fotograficzki **Janiiny Trojan**. Są wspomnienia **Grzegorza i Anny Deptów**, kiedyś wysokiej klasy tancerzy turniejowych tańca towarzyskiego. Od kilku lat prowadzą w Gorzowie prywatną szkołę tańca. Jest artysta malarz **Stanisław Mazuś**, a także **Teresa Lisowska**, aktorka gorzowskiego Teatru, która nadal marzy, aby istniał teatr, który uczy i bawi. I **Jerzy Paweł Duda**, z zawodu matematyk, kompozytor bardzo wielu piosenek, artysta z absolutnym słuchem muzycznym, wychowawca wielu młodych piosenkarzy, autor śpiewników na Ogólnopolskich Spotkaniach Autorów i Kompozytorów SMAK, długoletni pracownik Wojewódzkiego Domu Kultury.

Książka Wandy Milewskiej została wydana przez WiMBP w Gorzowie, ze wstępem dyrektora tej Książnicy Sławomira Szenwałda.

19.02.2019, KLUB „JEDYNKA” KOLEJNE SPOTKANIE Z CYKLU „FarmaLITER” i promocja dwóch tomików poetyckich gorzowskich autorek: Marii BORCZ – „W ho- telarni świata” i Krystyny CABAN – „Papierowe ptaki”

Obydwa tomiki zostały wydane przez Oficynę „Pisarze.pl”. Spotkanie, nastrojową choć trochę ponurą muzyką na gitarze, rozpoczął **Sebastian Siuda**, a autorki przeczytały na zmianę kilka swoich wierszy. Moderatorami spotkania byli **Beata P. Klary** i **Marek Stachowiak**. Mimo że tomiki zostały ocenione jako dwa różne światy, wyjaśniły, że tym montażem chciały pokazać, że te dwa światy jednak się przenikają. O wierszach Marii Borch w posłowniu tak pisze **Zdzisław Antelski**: *Maria Borch stawia podstawowe pytania o sens naszego życia, o sens świata. Odstania miałość naszej egzystencji, nakierowanej na prymitywne przetrwanie... (...) Wiersze jej to jakiś rodzaj ucieczki przed samym sobą. Kreśli tu stan pewnego „wyczerpania” cywilizacji i jej wielkiej kultury. Wiersze jej mocno nas strofują. A Maria, jakby kontynuując tę myśl, mówiła, że inspirują ją zawsze sprawy społeczne i duchowe. Interesuje ją to, co jest złe wokół, to, co ją denerwuje. W ten sposób walczy ze złem. „Wiersze moje – powiedziała – to krzyk i wołanie o alarm. Tak powinny być one odebrane, bo człowiek powinien reagować na zło”.*



Inspiracją dla Krystyny Caban był jej mężczyzna i rodzina. To jemu zadedykowała ten tomik. „Mężczyzna, który pozwolił uwierzyć, że można być kochaną. Otworzył przede mną drzwi na świat”. (*Więcej o tych tomikach na s. 22 w recenzjach K. Kamińskiej*).

Obie panie mają już dość dużo materiału na nowe tomiki. Tak więc w gorzowskiej literaturze się dzieje...

21.02.2019, WiMBP GORZÓW MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ JĘZYKA OJCZYSTEGO PROMOCJA POWIEŚCI ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO „KAŻDY MIAŁ WAKACJE”

Znamy **Zdzisława Morawskiego** bardziej jako poetę. Od lat nazywany jest Księciem Poetów. Urodził się w 1926 roku, zmarł w 1992. Debiutował w 1957 roku, był jednym z założycieli Oddziału ZLP w Zielonej Górze w roku 1961.

W ubiegłym roku, po śmierci jego żony Marii, całe archiwum poety zostało przekazane WiMBP w Gorzowie. Tą niezwykle bogatą spuścizną, na prośbę dyrektora gorzowskiej Książnicy, zajęli się **Krystyna Kamińska** i **Ireneusz K. Szmidt**. Wśród tysięcy kartek maszynopisów były powieści, sztuki teatralne, słuchowiska radiowe i poezja. Krystyna, jak powiedziała na spotkaniu, przeczytała chyba 4,5 tys. stron. Powieść *Każdy miał wakacje* napisana została w 1965 roku. Po jej przeczytaniu szybko skontaktowała się z p. **Markiem Bidolem**, pracownikiem Urzędu Miasta w Strzelcach Krajeńskich, bo tam szanuje się książki i wydaje się je, aby coś zostało dla potomnych. A akcja tej książki dzieje się na ich terenie, w ich gminie, nad jez. Lipie we wsi Długie. Tu Zdzisław Morawski spędzał wraz z rodziną wakacje. Był też instruktorem żeglarsstwa dla wielu młodych adeptów tej trudnej sztuki przetrwania na wodzie.

W ciągu godziny podjęto decyzję, że pozycja ta ukaże się drukiem. I tak oto pierwsza książka z przepastnego archiwum nieżyjącego już autora ujrzała światło dzienne. Wydawcy to: Urząd Miejski w Strzelcach Kraj. ZLP O/w Gorzowie i WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie. Redakcja Krystyna Kamińska. Konsultacja literacka i opracowanie edytorskie Ireneusz K. Szmidt. Fragmenty książki czytali uczniowie SP nr 1



w Strzelcach Kraj.: Wiktoria Romanowska, Janek Bojarski i Nikodem Rzepka, przygotowani przez swoje panie: Elżbietę Szafranek i Gabrielę Mróz. Moderatorem spotkania była Krystyna Kamińska.

Podczas promocji obejrzelśmy też dwa krótkie filmy o ośrodku w Długim dawniej i dzisiaj. Każdy obecny na promocji otrzymał książkę ze specjalnym stemplem „Długie, jezioro Lipie”.

20.03.2019, PLAC „KWADRAT”

KLUB KULTURY MCK „JEDYNKA”.

**WIERSE POWIESZONE NA ŚWIĘTO POEZJI
Happening i spotkanie z Karolem Maliszewskim
w przeddzień Światowego Dnia Poezji**

W Gorzowie Dzień Poezji uczczono happeningiem literackim na tzw. „Kwadracie”, przygotowanym przez Beatę P. Klary. Przesłane do pomysłodawczyni wiersze gorzowskich – i nie tylko – poetów zostały zafoliowane i 20 marca zawieszone na fontannie gorzowskiego „Kwadratu” (za zgodą Wydziału Gosp. Komunalnej UM). Kolorowo powiewających wierszy było 52. Miały zostać tam przez tydzień. Obecni podczas imprezy poeci, przed uroczystym zawieszeniem, swoje teksty czytali spontanicznie zgromadzonej publiczności.

Drugą częścią obchodów było spotkanie ze znanym literatem z Nowej Rudy, adiunktem w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego, Karolem Maliszewskim. Jako poeta zadebiutował w 1978 roku w „Radarze”. Píše także prozę i zajmuje się krytyką literacką. Jest laureatem wielu konkursów poetyckich. W 2007 roku był nominowany do Nagrody Literackiej Nike. Wydał kilkanaście tomików poetyckich, kilka utworów prozatorskich, szkiców krytycznych, recenzji i felietonów. Jacek Bierut mówi o nim tak: *Jest niepokorny, dziki, nieujarzmiony, niepokodzony ze światem, własną egzystencją i rzeczywistością... To ktoś, kto uwierzył, że literatura ma ścisły, wręcz organiczny związek z jego życiem.*

Podczas spotkania w „Jedynce” opowiadał o swoim zmaganiu się z pisaniem, o tym, że najwięcej pisze wtedy, gdy nie ma czasu. Podkreślał jednak, że pisanie daje mu dużo radości. A pisząc, koncentruje się na języku, bo język odkrywa coś, co mówi także o nim. Wiersz to język, melodia i rytm. Jego wiersze nie są opowiadające, dąży w nich do skrótowości. Narracyjność nie sprzyja minimalizmowi. Ostatni jego tomik „[małe zawsze]” wydany został w serii „Białe kruki, czarne owce”. *Seria ta ma na celu prezentację wartościowej literatury – utworów odważnych, nowatorskich, kontestujących zastany porządek oparty na wartościach.*

Ewa Rutkowska

Na zdjęciach:

1. Karol Maliszewski czyta (przed powieszeniem) swój wiersz
2. Swój wiersz czyta Anna Dominiak
3. I.K. Szmidt dokonuje aktu powieszenia „Następnego pokolenia”
4. Wszyscy poeci na tle swoich wierszy
5. Ukoronowanie happeningu „Kwadrat” – spotkanie z poetą i krytykiem literackim Karolem Maliszewskim w Klubie „Jedynka”

(fot. Marzena Maćkała)



NIC NIE WIE, NIC NIE CHCE

„Dobra książka może polegać na tym, że nie wiadomo, o co w niej chodzi” – ten fragment wiersza Marcina Sendackiego z tomu „W” przypomina mi się, gdy czytam najnowszy zbiór tekstów **Karola Maliszewskiego** [**małe zawsze**], wydany przez Dom Literatury w Łodzi w serii „Białe kruki, czarne owce”. Ta książka to 64 poetyckie migawki, obserwacje oparte na eliptycznym skrócie, miniatury (najdłuższa liczy 8 wersów) nierzadko pozostawiające odbiorcę w mało komfortowym stanie bezradności. Bo czego oczekiwać po tych na pierwszy rzut oka mniej lub bardziej czytelnych hasłach, konkluzjach, mikroanegdotach czy aforyzmach? W tym ledwie zasygnalizowanym namyśle, fragmentarycznym ujęciu zewnętrznego i wewnętrznego kosmosu, odpryskach, które budują przecież swoisty pejzaż mentalny? Pejzaż oparty niekiedy na bardzo doraźnych obserwacjach: *starsza pani musi / no to jej pokazujemy drogę // a potem nie chcemy / przyjąć pieniędzy. [starsza pani]*

Pierwszym, narzucającym się wrażeniem towarzyszącym lekturze zbioru jest lapidarność form, które konsekwentnie realizują tu formułę mikrostylu. A może taka właśnie scieżniona, migawkowa komunikacja jest dziś najskuteczniejszym sposobem dotarcia do znużonego bezmiarem treści odbiorcy? To, co kiedyś wydawało się czymś błahym (przez swoją niepozorną formę właśnie), dziś może być nośnikiem znaczącego semantycznego ciężaru. Taka fraza może ma dużą szansę na zadomowienie się w poezji, bo hasłowe ujęcia mobilizują odbiorcę do maksymalnego poznawczego wysiłku w nadawaniu znaczeń tym jakby kątem oka rejestrowanym obrazom. I właśnie to, co może tu być najistotniejsze, to nie obraz, ale kąt patrzenia na fragment, który poeta wybiera do obserwacji. To pozorne odczucie, że [**małe zawsze**] jest przypadkowym zbiorem niemęczących umysłu, lekkostrawnych hasel. Rzeczą służącą rozrywce, poezją niezrozumiałych (!) oczywistości, z przeblyskiem nienachalnie zaangażowanych hasel. Bo i takie tu odnajdujemy: *zebraku spod opery / zaśpiewaj, szachisto spod dworca / rusz koniem / to się nazywa gambit.*

Dopiero drugie i trzecie spojrzenie odsłania gambit, do jakiego nawołuje poeta.

Formalny minimalizm, odejście od konwencjonalnie werbalizowanych diagnoz, poetyka niedopowiedzenia i paradoksu okazują się niezastąpione do pokazania, w jaki sposób, pod jakim kątem i przez jaki obiektyw spogląda na świat Karol Maliszewski. Jaką wiedzę o życiu zgromadził i jaką poetykę wybrał do jej opisu. Wiele tu zjadliwego dowcipu, bezceremonialnych konkluzji, diagnoz niepodlegających negocjacji: *tylko tyle zrozumiałem / z tego listu. [meine vagina]*

Każda teza interpretacyjna, którą chciałoby się tu postawić, może okazać się zupełnie nietrafiona, a nawet zbędna, bo potencjał odczytań tych mikrozapisów jest dużo większy, niż to bywa w przypadku obszerniejszych fraz. Choć niektóre wydają się jednoznaczne, wyrażając, choćby jak ta, utratę złudzeń: *ona już wie, co się rozgrywa w oku / mężczyzny // piedestał, kłodka i trochę pomiędzy. [ona już]*

Minimum słów, a w nich jakby od niechcenia sformułowane zakwestionowanie utrwalonego obrazu świata. Przewrotne, prześmiewcze, bynajmniej nieaspirujące do tonów moralizatorskich konstatacje, w których, jak zauważyła Agnieszka

Wolny-Hamkało, jest wiedza o śmierci, ale i wiedza o życiu, co ujawnia się nie tylko w takim jak to, przekornym potraktowaniu tematu: *twoje zwłoki znają wszystkie / reklamy na pamięć // powtarzają je w ciemności / z dziwnym wyrazem twarzy. [twoje zwłoki]*

Wiele takich zgrabnie, sentencjonalnie artykułowanych fraz mogłoby z powodzeniem zasilić rejestr hasel wypisywanych na ścianach czy chodnikach, koszulkach, kubkach, wszędzie tam, gdzie pożądany jest przekaz mocny i czytelny. Ale ta czytelność może być pułapką, bo te pozornie lekkie formy nie potwierdzają oczywistości, ale z wyraźną mocą powodują wytrącenie z dotychczasowych przekonań o faktach i ich znaczeniach. Maliszewski zdaje się w ustalonej rzeczywistości poszukiwać skaz i pęknięć. Gorączkowo (wbrew uproszczonej frazie) wdzierając się pod pozory znaczeń, by zakwestionować ustalone znaczenia faktów.

Świat, który widzimy, zdaje się twierdzić w swoich mikrozapisach poeta, nie jest jedynym możliwym. Jego interpretacji może być nieskończenie wiele. Stąd tropienie paradoksów, wskazywanie możliwości innych rozegrań.

I to dyskretnie wprowadzanie elementów zakłócających strukturę tego, co zastane. Bo inne odczytania są możliwe i tylko czekają na uruchomienie: *nad nami ten, co zawsze // zawsze małe / mniejsze / nic // nad nami tlen, co zna się / wodór, co czuje / heł, co mówi // zwiąż. [nad nami]*

Wyraźna inklinacja do skrótu, może nawet kokietowanie ironicznym stylem wirtualnych przekazów nie służy tu do doraźnego rejestrowania doświadczeń, ale do odkrycia ich niejednoznaczności: *jest: szukanie autobusu / powinno być: absolutu. (s. 277) [jest: szukane]*

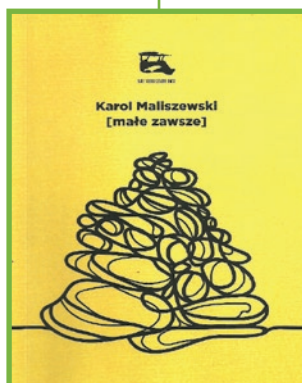
Zwężenie frazy i zminimalizowanie poetyckiego instrumentarium służy tu do wzbogacenia przekazu. Tom wypełniają migawki, które nie aspirują do ujęć kompletnych i w żadnej mierze nie chcą być diagnozami uniwersalnymi. To konstatacje wyraźnie zależne od czasu i miejsca, nierozdzielnie związane z kontekstem, który często staje się tu główną treścią. Te mikrofrazy jednak to całkiem dobrze rozwinięte, autonomiczne byty o trudnych do pochwylenia sensach, nierzadko w sposób dyskretny sygnalizujące swoje kulturowe podłoże: *jak on zaczyna / cytować platona // to my go pierdolimy. [jak on]*

(Cytowana fraza ma głęboki sens, to Platon przecież optował za wypierdoleniem poetów z państwa, ale tym, co jeszcze bardziej się narzuca, jest możliwość odczytania powyższego zdania jako trawestacji pewnego dialogu z „Sikierczydą”).

Wszystko to tworzy raport z życia wewnętrznego. Maliszewski kwestionuje stereotypy ze świadomością, że podważenie jednych jest jednocześnie tworzeniem nowych. Poeta tej miary nie ma wobec tego faktu żadnych złudzeń.

Elipsa okazuje się w przypadku tej refleksji nie tylko formułą zawężenia, ale daje jednocześnie możliwość precyzyjnego oświecenia. Formułując prawdy z pozoru tylko błahę, poeta zachowuje wyraźny dystans do swojego głosu: *z kosmosu nie widać tej linii. [z kosmosu]*

Oczywiste i nieprawdopodobne zarazem. Czy nie jest najważniejszym zdaniem tego zbioru?



ŚLADAMI HEMINGWAYA

Laureat Literackiej Nagrody Nobla ponad 20 lat spędził na Kubie, pozostawiając po sobie liczne pamiątki i miejsca.

Pisarz od młodych lat lubił polować na dzikie zwierzęta i łowić ryby w morzach. Pod koniec lat 20. XX wieku wyprawiał się z wybrzeży USA na łowienie marlinów aż w pobliże Kuby. Szybko zainteresował się tą wyspą, zwłaszcza jej stolicą Hawaną, słynącą z bardzo licznych kasyn, gry, domów publicznych i rozrywkowego stylu życia, przynajmniej dla bogatych Amerykanów. Stał się stałym bywalcem barów Hawany.

Gdy w 1938 roku skończyła się wojna domowa w Hiszpanii, gdzie pisarz przebywał jako korespondent i zwolennik rewolucjonistów, wprowadził się na dobre do hotelu Ambos Mundos w centrum Starej Hawany. Stamtąd miał bliźniutko do ulubionego baru *El Floridita*. Do dziś zwiedzający mogą obejrzeć w hotelu pokój pisarza. Tam właśnie napisał słynną powieść „Komu bije dzwon”.

Wtedy związał się z dziennikarką Martą Gelhorn, w przyszłości trzecią żoną. Jednak jej nie odpowiadało hotelowe życie. Znalazła w gazetowych ogłoszeniach posiadłość Finca Vigía, 12 km od Hawany, i namówiła pisarza do jej zakupu. Tam Hemingway mieszkał prawie do końca swego życia w 1961 roku.

Piękna posiadłość z kilkoma budynkami udostępniona jest dziś turystom, choć nie wolno wchodzić do pomieszczeń, gdzie przebywał pisarz z żoną i gośćmi. A goście bywali znamienici, m.in. aktorzy Gary Cooper i nago kąpała się Ava Gardner. Pisarz zapraszał ich często na połowy marlinów na swoim luksusowym jachcie.

W zapiskach znajomych pisarza zachowały się wzmianki, że trudno uznać go za wzór dobrego gospodarza. Na trzeźwo, a zwłaszcza po pijanemu dostrzegali w nim typa „pyszałkowatego, kłamiwego, obłego, nudnego, humorzastego, przewrażliwionego i mściwego”.

Podczas drugiej wojny światowej Hemingway przekształcił swój jacht w łódź patrolową i śledził, czy aby do wybrzeży Kuby nie zbliżają się niemieckie łodzie podwodne. Na szczęście dla niego hitlerowcy aż tak daleko się nie zapuścili.

Jakiś czas podczas wojny pisarz był w Europie, w tym we Włoszech, korespondentem wojennym. Po wojnie osiadł na dobre pod Hawanę. Prowadził pijacki styl życia, upijał się do nieprzytomności i awanturował. W zależności od humoru nie-

znajomych w barach częstował uściskami dłoni lub ciosami pięści. Za co po wytrzeźwieniu gorąco przeproszał.

Okresy opilstwa przeplatał intensywną pracą. Wtedy właśnie napisał nowelę „Stary człowiek i morze”, za którą otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Akcja dzieje się w kubańskiej wiosce Cojimar i opisuje zmagania starego rybaka z potężnym marlinem. Jednak słynny film z Anthony Quinnem w roli głównej pod tym samym tytułem nakręcono w Peru. Bo kubańskie marliny rzadko kiedy podejmują spektakularną i efektowną dla filmowego widza walkę w czasie połowu.

Jeśli Hemingway zdecydowanie popierał rewolucjonistów w wojnie domowej w Hiszpanii, to o rewolucji na Kubie w 1959 roku nigdy nie wypowiedział się jednoznacznie. Nie lubił proamerykańskiego dyktatora Batisty, ale głównie za to, że jego żołnierze zastrzelili mu psa. Z Fidelem Castro nigdy się nie zaprzyjaźnił. Obaj panowie spotkali się tylko

raz, podczas zawodów wędkarskich w 1960 roku w Hawanie. Fidel zgarnął wtedy większość nagród, a wręczał mu je znany pisarz. Ucięli sobie dłuższą pogawędkę o... marlinach.

Castro po zwycięstwie rewolucji upaństwowił wszystkie prywatne nieruchomości, także podhawańską posiadłość Hemingwaya. Ten zaś w 1961 roku, nie widząc szans na wyleczenie nowotworu, zastrzelił się w swoim domu w USA. Po śmierci pisarza Castro towarzyszył wdowie po nim do ich domu pod Hawanę, by mogła odzyskać dokumenty i pamiątki. Na Kubie zostało wyposażenie domu i kilka tysięcy książek oraz dziesiątki trofeów z polowań pisarza w Afryce.

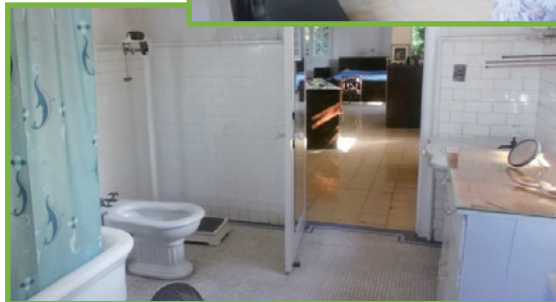
Dziś restauracje i bary, w których był Hemingway, są licznie odwiedzane przez turystów zagranicznych. Kelnerzy serwują im ulubione drinki pisarza. *Daiquiri* – to w wysokiej szklance mnóstwo lodu i wody gazowanej z butelki, odrobina limonki, białego rumu oraz cukier trzcinowy. Za tej wątpliwej jakości drink płaci się aż 5 ero, czyli

ok. 22 zł. Gdy do tego zestawu kelner doda trochę zielonych liści mięty, otrzymuje się mojito, kolejny ulubiony drink sławnego pisarza.

Bary te nastawione są na jednorazowych klientów, bo za 5 euro można kupić dużą butelkę rumu, oczywiście w sklepie przeznaczonym dla cudzoziemców.

Na zdjęciach:

1. Ulubiony bar Hemingwaya *Florida* w Hawanie
2. Pokój pisarza w posiadłości *Finca Vigía*
3. Łazienka Hemingwaya
4. Do dziś na Kubie zachował się jacht pisarza *Pilar* (foto: autor)



Z klasyki polskiej satyry

JAN BRZECHWA

Szelmostwa Lisa Witalisa

(fragment poematu)

(...) A tymczasem lis po chwili
Ciągnął dalej: – Moi mili,
Nie namawiam, ale radzę:
Jeśli dziś otrzymam władzę,
Daję słowo, że zasadzę
W ciągu pięciu dni na piasku
Drzewa mego wynalazku.
Już nie szyszki, nie żołędzie,
Ale rosnać na nich będzie
Schab wędzony i pieczony,
Boczek, szynki, salcesony,
Mortadela i serdelki,
Mięś przeróżnych wybór wielki,
Nawet prosię w galarecie,
Jeśli tylko zapragniecie.

Wszystkim oczy aż zabłyśły:
– Lis niezgorsze ma pomysły,
Niech zostanie prezydentem!
– Czy przyjęte? – Tak! Przyjęte!
Niedźwiedź objął go za szyję
I zawołał: – Niech nam żyje!
– Żyj nam, lisie Witalisie!
– Powtórzyły za nim rysie,
Kuny, tchórze i jelenie
Oraz całe zgromadzenie.

Po wyborach zgodnie z prawem
Lis od wilka wziął buławę
I do domu cztery kozły
Z wielką pompą go zawiozły.
Kiedy jechał leśną drogą,
Wpierw widziano jego ogon,
Co jak ruda chmura zwisa,
A dopiero potem – lisa.

Już nazajutrz na polanie
Zaczął lis urzędowanie.
Kazał podać sobie korę,
Wziął do garści
 pióro spore
I ustawę za ustawą
Jął wydawać
 z wielką wprawą:
– Zarządzamy,
 by zwierzęta
Do użytku prezydenta
Oddawały, prócz okupu,
Czwartą część
 swojego łupu.
Żeby każdy ptak od maja
Aż do maja wszystkie jaja
Niósł dla lisa Witalisa,
Który żółtka
 z nich wysysa.
Żeby kury i kurczęta
Same szły do prezydenta
I prosiły, by na rożnie
Raczył upiec je ostrożnie.

Nie pamiętam już,
 niestety,
Jakie prawa i dekrety
Wydał jeszcze lis ponadto,
Lecz zwierzęcy
 cały świat to,
Pełen lęku i poddania,
Wykonywał bez
 szemrania.

LECH JAN JAMKA

Fraszki i aforyzmy

Zabłysnął znów
potokiem słów.

Szedł w życie,
lecz nigdy o świecie.

Zostało mu tylko tyle:
we krwi promile.

Faryzeusza
morał nie rusza.

Pisał mnogo,
lecz ubogo,
przy czym
o niczym.

Rozum sztywny
wszystkiemu przeciwny.

Nader wielkie morały
też się na dno staczały.

W wielkiej mądrości
zawsze smutek gości.

Nie ma już chłopca
bez laptopa.

Tak się pograżył w dobrobycie,
że nie miał czasu już na życie.

U księdza na spowiedzi
czasem i diabeł siedzi.

Jest niewinna jak lelija,
aleć i to z czasem mija.

Tłumaczył się w sądach
różnicą w poglądach.

Przed ludzkim językiem
i ziemia nie skryje.

Na polityce zęby zjadł,
dziś sączy mu się z gęby jad.

Gdy ją ujrzał, zwierciadło
ze strachu na ziemię upadło.

Mierzył wysoko,
pogrzebali głęboko.

Tak tęsknił za wolnością,
aż mu stanęła w gardle ością.

Dzisiaj miarą człowieczeństwa
bywają też bezceństwa.

On się z nikim nie wadzi
– każdemu kadzi.

* „Jestem ponad” – rzekł filozof, siadając na sedesie
* Białych płam niczym nie wywabisz.

* Skupuję sumienia. Mogą być nieczyste
* Poszukuję betonu – partyjny wykuczony.



ZNASOPISMO
LITERACKIE
pod auspicjami
WiMBP i ZLP
w Gorzowie

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227. Sekretarz red.:
Danuta Zielińska – tel. 95 727 70 70. Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak,
Beata P. Klary, Krystyna Kamińska, Ewa Rutkowska. Grafika i rysunki: Zbigniew
Olchowik. Zdjęcia: Daniel Adamski, Bogdan Bloch, Jacek Buczyński, Andrzej
Haegenbarth, Beata P. Klary, Kazimierz Ligocki, Marzena Maćkała, Kamil
Siałkowski, I.K. Szmidt oraz archiwum wydawcy i autorów. Wydawcy: ZO ZLP,
WiMBP im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów
Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl. E-mail red. nac: i.k.szmidt@wp.pl;
www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.

ZASADY WSPÓŁPRACY – przekazując materiały do redakcji czasopisma
literackiego „Pegaz Lubuski”, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie,
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich,
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię, a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia),
- ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów,
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.



TADEUSZ SZYFER

Przypuszczenie
Można by tę prawdę
już przyjąć ogólnie,
Że głupi sam rządzi –
mędrcy zawsze wspólnie!

A fe! – ry...
Po co mu książeczka? On jest stworzony
Do obracania kota ogonem!

Ryzykowny (C)horał?
Każdy ukraść może,
Byle w „imie Boże”.

Konwent „przemówień”
Słyszałem mówców niektórych na żywo,
Przy nich to Goebels jest jak „małe piwo”.

Misiowanie w spółkach
Wskutek nepotycznych czystek
Miał fachowca rządzi chłystek!!!

Podwyżkowe wyjście
Trzeba by niektórych z rządu
Włączyć do właściwych prądów!

Przestroga
Nim obejrzyś się człowiecze,
Będziesz mieć tu średniowiecze.

Krok do średniowiecza
ZaPiSane ustawy mają tyle mocy,
Że przywróć, być może, prawo „pierwszej nocy”!

Z(a)miana w energetyce?
Propozycje rządu wyglądają na to,
Że nam pozostanie tylko prąd... z herbatą!

Prawo dynamiki afer
Tę rzecz pożyteczną PiS dla kraju robi,
Że wyzwala energię, tę – przeciwko sobie...!

Paradoksalne o ciele
Nasz język ojczysty nie jest w tym dokładny,
Bo choć brzydka nazwa, za to obiekt ładny...

Bolesne przypuszczenie
Gdy niektórych biskupów posłucham narracji,
Myślę, że król, ten Śmiały, bronił stanu racji...

Zgodnie z naturą?
Być nie powinien u władzy dłużej
Ten, co za wrogów ma białe róże!!!

Preludium apokalipsy
Gdy zawładną sądami, dla kraju oznacza,
Zwłaszcza opozycji inkwizycja kacza...

Polityczna matematyka?
(przez matematyczne Pi)
Gdy to, na co liczą w wyborach, się ziści,
Będą nami rządzić PiSeksualiści...

Konkluzja z konwencji
O mówcy w Jasionce telewizję się dowie,
Że jednak mu staje, ale włos na głowie!...

FERDYNAND GŁODZIK

Nie wiem

Śledzę w prasie wiadomości,
dużo czytam,
lecz niestety marny ze mnie
erudyta,
coraz częściej się w bezsilnym pławie gniewie,
gdy dostrzegam, że kompletnie czegoś nie wiem.

Czy przekupka to jest ktoś do przekupienia,
a ten, który piecze ciasto, to pieczeniarka?
Ten, co w środy bierze urlop, to mimośród,
a wiersz świeżo napisany to nowotwór?

Czy mieszkanie gospodarza to gospoda,
a policjant od dochodzeń to jest chodziarz?
Czy dziennikarz wstawia stopnie do dziennika,
a Ludwiki mężem zawsze jest ludwisarz?

Szukam w „googlach”, podręcznikach, a czas leci.
Może ktoś z Szanownych Państwa mnie oświeci?
Bo ciekawość i bezsilność mnie pożera.
Gdybym wiedział, miałbym milion w „Milionerach”.

Gorzów Wlkp. 6.03.2018 r.



Janina JASZKA Jurgowiak

PSU BRACIE

Katem czy bratem jesteś mu –
wróblowi, krowie, kotu, psu...?
Czy być psubratem jest haniebnie?
Tak nie uważam. Nie szydź ze mnie
i nie pogardzaj, nie gań ostro,
że zapragnęłam być psusiostrą.

NA LITERACKIM WARSZTACIE

A może lepiej taki wiersz? Chcesz?
Wiersz można nawet od dymu z komina,
od wstawienia okien w ściany,
których jeszcze nie ma.
Tam, gdzie się kończy,
niech się tam zaczyna.

Bo to nie tak miało być. A jak?

Bo to nie tak miało być. Tylko tak.
Odwróć. Niech stanie
na dachu.
Tak na to spójrz. Tak spójrz!
Myśl, jak ja.
Pisz samodzielnie.
Sama dzielnie pisz.
Tak patrz.
Słuchaj. Słysz.
Pisz.

